

Komekonu, podobne do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej – E.W.G. Dominacja Sowieców w R.W.P.G. była oczywista i bezapelacyjna, przy serwilizmie N.R.D.-owskich Niemców i Czechów, jakkolwiek te dwa kraje technicznie reprezentowały dużo wyższy poziom, aniżeli Sowieci i w moim pojęciu nie mieli się czego obawiać. Jeżeli chodzi o urządzenia i aparaturę chemiczną, to Sowieci nie wytrzymywali konkurencji Niemców i Czechów. Serwilizm widocznie jest drugą naturą i podobno zapisany jest w genach. Decyzje były zawsze z góry przygotowywane i na ogół akceptowane. A jednak, jakieś rysy w tej spójności już wtedy można było wyczuć. Ujawniły się one na jednym z moskiewskich posiedzeń przy ustalaniu specjalizacji poszczególnych krajów członkowskich w zakresie produkcji aparatury chemicznej. Zaczęło się od Rumunów; odmówili podpisania protokołu uzgadniającego i przedstawili swoją listę aparatów jakie chcieli produkować w swoim kraju. W przerwie posiedzenia powiedzieli mi, że w tym względzie mają wyraźne zalecenia swojego rządu ażeby nie ustępować. Bułgarzy też próbowali oponować, ale bardzo niemrawo i szybko ulegli. Tłumaczyli się tym, że oprócz pomidorów, cebuli i ogórków chcieli ażeby im przyznano niektóre mniej skomplikowane jednostki aparaturowe. Posiedzenia naszej podkomisji odbywały się w Moskwie, Berlinie, Pradze.

Nazwa tego organu – R.W.P.G. – może i nie byłaby taka zła gdyby nie to, że pomoc była prawie że jednokierunkowa – oni brali i to dużo, a dawali bardzo mało albo wcale. Clearing był w sowieckich rublach i już to stanowiło duży minus, bo za surowce nabywane na zachodzie trzeba było płacić w twardej walucie – dolarami. Na ten temat w Polsce krążył dowcip: Polska daje Sowiecom węgiel, mięso, cukier, zboże – a za to Sowieci biorą z Polski statki, tekstylia, cement, bekony, masło, ser.

Bezpośrednio po Październiku 56-go roku Gomułka obiecał, że teraz wszystko się zmieni i że handel będzie jak równy z równym. Może to tak i chciał, ale jak się mówi, do tanga musi być dwoje. Gadał coraz więcej i nie zawsze to czego ludzie chcieli usłyszeć. W narodzie go nazywali Gomułka gadułka, twórca strefy bezmięskiej w Europie Wschodniej. Przypisywano mu też powiedzenie, że sytuacja jest dobra, ale nie beznadziejna. Widocznie w więzieniu za czasów Bieruta niewiele się nauczył. Takim pozostał do czasu kiedy go swoi kumple zrzucili z piedestału. Początkowo nie chciał wierzyć, że to się stało. O tyle tylko miał szczęście, że go znowu do pierdła nie wsadzili. Później nastały nowe, gierkowskie czasy – hulaj dusza bez kontusza. Niedługo po tym Gomułce się zmarło. Nie tyle może z chorób ile z żalu za to co go spotkało ze strony swoich towarzyszy partyjnych.

Nie mogę sobie przypomnieć kto wtedy premierował. Chyba ten żelazny premier z łusą głową i bez wąsów. Dla mnie zawsze był sympatyczny pomimo, że na zjeździe zjednoczeniowym sprzedał komunistom dawną P.P.S. z której sam się wywodził. Czyżby nie wiedział, że każdy sojusz z komunistami zawsze prowadzi do ich dyktanda ? A uchodził za inteligentnego faceta w porównaniu z większością burów w najwyższym kierownictwie partyjnym którego był członkiem, nie tyle może rzeczywistym ile nominalnym. Zawsze lubiłem słuchać te jego przemówienia, nie tyle ze względu na treść, ile według mojego zrozumienia, na tę jego nienaganną polszczyznę – w porównaniu z kresowym, chłopskim akcentem Gomułki. O Cyrankiewiczzu mówili, że był on premierem z przymrużeniem oka. Złośliwcy utrzymywali, że był premierem bez tzw. “security clearance”, tzn. Bez dopuszczenia do spraw tajnych. Widocznie nie musiało go to specjalnie wzruszać. Zawsze żył dostatnio i ciekawie i widocznie to mu musiało wystarczać. W głębi duszy musiał się po brzuchu gładzić patrząc jak to jego tzw. towarzysze partyjni biorą się za czuby i wzajemnie się unicestwiają. On zawsze był pod ręką – wszyscy go potrzebowali. Raz tylko o mały włos mu nie popadło. A było to wtedy kiedy podczas pobytu w Moskwie Chruszczow opowiadał, i to w jego obecności, jak likwidowano Berię. Po powrocie do Warszawy od razu “sprzedał” tę wersję Filipowi Ben, warszawskiemu korespondentowi paryskiego Le Mond. Już na drugi dzień ta wersja ukazała się w Le Mond. Straszna się zrobiła z tego awantura. Chruszczow się wściekał i kazał znaleźć źródło przecieku. Jak to się skończyło – nie wiem. Może być, że jedną z tych ofiar był Henryk Holand, warszawski dziennikarz mieszkający na ulicy Nowotki, niedaleko naszego domu na Muranowie. Czy sam wyskoczył

oknem z bardzo wysokiego piętra, czy mu w tym pomogli – nie ma historycznego znaczenia. Zdaje się, że było to w dzień przedwigilijny. Nasz Jerzyk wrócił do domu z wiadomością, że jakiś pan na ulicy Nowotki montował sobie na święta antenę telewizyjną i niechcący spadł z okna i zrobił się z niego placek. Cyrankiewicz w końcu umarł ze starości, w bardzo już podeszłym wieku. Miał chłopisko szczęście, bo takim ludziom, na takim stanowisku w tzw. obozie pokoju nieczęsto się to zdarzało. Nas już wtedy w Polsce nie było.

Podczas jednego z pobytów w Moskwie, gospodarze, w wolnym od posiedzeń czasie, organizowali nam różnego rodzaju imprezy kulturalne. Zwiedziliśmy “Bolszoi” i byliśmy w operze na “Chowańszczyźnie”, oglądaliśmy również balet w kremłowskim pałacu zjazdów. Zaprowadzono nas na wystawę malarstwa, w tym również abstrakcyjnego, która wzbudziła burzliwą kontrowersję w moskiewskiej czołówce partyjnej. Byliśmy w niedawno otwartym na Kremlu muzeum carów tzw. Rużejnoy Pałata – niewyobrażalne bogactwo; jak to się ustrzegło? W wolną niedzielę zawieziono nas do podmiejskiej miejscowości Gorki (nie mylić z miastem Gorkij, dawniej Niżnij Nowograd) gdzie przebywał Lenin już jako chory i tam też zmarł. Widzieliśmy tam ciekawe, dotychczas nieopublikowane dokumenty. Zwiedziliśmy również Moskiewski Uniwersytet im. Łomonosowa. W programie naszego pobytu była wizyta w Leningradzie; zwiedziliśmy tam Instytut Badawczy Maszyn i Urządzeń Chemicznych. Kiedyś była mowa o tym ażeby w Polsce stworzyć coś podobnego. Z okazji pobytu w Leningradzie zwiedziliśmy też siedzibę carów w Peterhofie nad Zatoką Fińską. W końcu wróciliśmy do Warszawy. Trzeba było złożyć szczegółowe, pisemne sprawozdanie, co zazwyczaj opracowywałem w domu. Trzeba też było wrócić do codziennej rutyny w biurze; poza tym musiałem wykańczać projekt dyplomowy i zacząć przygotowywać się do końcowego egzaminu dyplomowego.

W międzyczasie wybuchł kryzys kubański w związku z czym było dużo pracy. Wojna wisiała na włosku i gdyby nie umiejętna postawa Prezydenta Stanów Zjednoczonych J.F.Kenediego, kto wie czym by to się skończyło. Chruszczow się jednak “złamał” i wycofał rakiety z Kuby. Jak narazie wojna była zażegnana.

Oprócz pracy w biurze, robiliśmy z kolegą z poprzedniego biura projektów, inżynierem K., również prace zleczone. Na podstawie koncepcji profesora J.Grzymka zaprojektowaliśmy tzw. “Pilot Plant” dla sublimacji siarki z rudy tarnobrzeskiej co miało w przyszłości wyeliminować dotychczasową metodę flotacyjną. Zarobiliśmy przy tym dosyć sporo nadprogramowego grosza.

W domu, jak w domu, kłopotów rodzinnych, a w szczególności zdrowotnych nie brakło. Jerzyk przeszedł operację wyrostka robaczkowego w szpitalu dziecięcym na Litewskiej. U Ludki były podejrzenia, że jedną nogę ma krótszą. Omalże nie daliśmy ją na tzw. “wyciąg”. Później okazało się, że była jakaś pomyłka w obliczeniach i wszystko rozeszło się po kościach. Mieliśmy szczęście. Gina pracowała wtedy w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki. Praca bardzo ciekawa z jeszcze bardziej ciekawymi ludźmi. U niej odezwały się stare kłopoty zdrowotne. Serce dawało się we znaki. Chodziliśmy do najlepszych kardiologów w Warszawie. Siostra Giny, Nuna z rodziną od 57-go roku przebywała w Izraelu. W pierwszym okresie było im niełatwo, jak zresztą wszystkim imigrantom. Pomimo tego zebrali pieniądze i przysłali Ginie bilety na turystyczną wizytę. Jej pobyt w Izraelu trwał około dwóch miesięcy. Ja sobie musiałem sam poradzić z dziećmi. W domu mieliśmy kobietę do pomocy.

Skończyłem swój projekt dyplomowy, zdałem końcowy egzamin i otrzymałem dyplom inżyniera mechanika – po prawie 7-iu latach ciężkiego i wyczerpującego wysiłku całej naszej rodziny, a w szczególności drogiej, ukochanej żony mojej – Giny. Gdyby nie ona, nie wiem czy byłbym to osiągnął. W domu urządzono przyjęcie – tylko dla najbliższych przyjaciół. Dzieci się ciągle dopytywały: a co tata teraz będzie robił?

Po powrocie Giny z Izraela stała się sprawa: co teraz robić? Miałem możliwość wybrać Stany Zjednoczone – moja siostra mieszkała tam już od kilku lat. Gina jednak nie chciała – ona

chciała być ze swoją siostrą, w Izraelu. No i co miałem robić ? Musiałem się ugiąć. W końcu zadecydowaliśmy: Izrael.

Trochę się bałem, że władze mogą mi robić trudności w związku z moją wieloletnią pracą w przemyśle zbrojeniowym. Jak się okazało – niesłusznie. Po 56 i 57-ym roku wyjeżdżały nie takie płotki jak ja, ale naprawę ważne fisze – uwikłani w przemysłach specjalnych. Tak, ale wtedy był 56-y i 57-y rok, a teraz jest 64-y rok. Te były nieporównywalne. Wtedy emigracja była wymuszana, ludzi wyrzucano z pracy, stosowano różne szykany mające na celu jak najszybsze wyzbycie się jak największej ilości Żydów. Może być, że chodziło o to, ażeby zwolnić jak najwięcej miejsc pracy i mieszkań dla nie-Żydów ? Według antysemitów, polakofilów nadarzała się historyczna okazja wyzbycia się Żydów, uczynienia Polskę “Judenrein” – wolną od Żydów, bo jak inaczej można to było sobie wytłumaczyć ? W rzeczywistości chyba nie więcej jak połowa wyjeżdżających przyjmowała tę wymuszoną emigrację może i nie z tak wielką chęcią, ale powiedziałbym, że też nie znowu aż tak niechętnie. Co się tyczy tej drugiej połowy, to ona nigdy

przedtem chęci na opuszczenie Polski nie wyrażała. Ta druga połowa była wrosnięta w polską kulturę, we wszystko co miało jakiś związek z Polską, ich językiem ojczystym był język polski, wielu miało żony Polki i wspólne dzieci, w każdym calu polskie dzieci, wielu z nich przelewało krew na różnych frontach II-iej Wojny Światowej – w różnych armiach koalicji antyhitlerowskiej. Ci ludzie szczerze i z oddaniem pracowali dla Polski. Oni się w Polsce urodzili i Polskę uważali za swoją Ojczyznę.

I ta Polska, niby to socjalistyczna, postępową, dała im szpetnego kopniaka w tyłek. Na coś takiego, na taką podłość chyba żaden inny, przedwojenny rząd by się na to nie był zdobył. Dzisiaj to już jednak nie te czasy, że trzeba sięgnąć po tułaczy kij i ruszyć w nieznaną. Dziś Żydzi mają swój własny kraj który gotów jest ich przyjąć z otwartymi ramionami. Jaki by on tam nie był ten kraj, ale zawsze swój. I to pomimo wielu minusów chociażby takich jak przymus religijny, nieraz brutalny, przenikający do szpiku kości; nie uznawanie dzieci nie-żydowskich matek za Żydów; kraj o permanentnym zagrożeniu, w którym wojny – duże i małe – stanowią codzienną rzeczywistość; kraj w którym każdy zabity lub ranny wywołuje – bez przesady – smutek ogólnonarodowy, i jeszcze wiele innych, nie wyliczonych minusów. Ale są przecież i plusy które może i łatwiej byłoby wyliczyć aniżeli minusy. Że pierwszy okres bywa niełatwy ? A gdzie, w którym kraju te pierwsze okresy bywają łatwe ? W Ameryce ? W Anglii ? W tejże Polsce pierwszy okres był łatwy ? Już nieraz powtarzałem, że do wszystkiego trzeba się wpięć przyzwyczaić, potem polubić i dopiero wtedy łatwiej się wszystko znosi.

Po tym przymusowym exodusie w Polsce pozostało niewiele Żydów, stąd ewentualność innego podejścia władz do sprawy emigracji. Czy na przykład zwyczajna ludzka złośliwość czasem niewiele znaczącego urzędnika – biurokraty nie może spowodować kłopotów ? Poszliśmy na pierwszą, wstępną rozmowę do ambasady izraelskiej. Przyjął nas jeden z tych ważniejszych chyba urzędników rozmawiający po polsku. Włączył radio, widocznie po to ażeby utrudnić ewentualny podsłuch. Bo, że podsłuch był, to jest pewne. Przedstawiłem mu moją sytuację, gdzie pracowałem i co robiłem przez te wszystkie lata. On potwierdził moje obawy. Jego zdaniem byłoby lepiej gdybym mógł zostawić moją obecną pracę przez jakiś czas przed formalnym złożeniem dokumentów z prośbą o zezwolenie na wyjazd. Na zakończenie rozmowy dał mi nawet 10 tysięcy złotych, o co wcale nie prosiłem, na ewentualne wydatki związane z przygotowaniem do wyjazdu; żadnych pokwitowań od nas nie żądał.

Wkrótce potem zacząłem przygotowywać grunt pod moje zwolnienie się z obecnej pracy. Przygotowywałem sobie, w moim pojęciu, możliwie najstrawniejszą wersję. Na ogół wszyscy nasi nie-żydowscy znajomi wiedzieli, że mam siostrę w Stanach Zjednoczonych i że czynię starania o wyjazd do niej, a nie do Izraela. W tym względzie nikogo żeśmy nie wyprowadzili z błędu. Wszyscy bez wyjątku pochwalali ten nasz wybór. Wielu nam nawet zazdrościło. Mie wiem jak by się do tego wszystkiego ustosunkowali gdyby wiedzieli, że nie o

Amerykę chodzi, tylko o Izrael. Mogłem tylko przypuszczać, a według moich przypuszczeń, opinie byłyby “fifty fifty”.

Zwolnienie z obecnej pracy przeszło dosyć gładko i bez zgrzytów. Szybko znalazłem inną pracę, w moim pojęciu najbardziej odpowiednią dla moich przyszłych planów. W Warszawie w tym czasie istniała Spółdzielnia Tłumaczy dokumentów, dokumentacji technicznej, prospektów itp., z języków obcych na polski i vice versa. Spółdzielnię w swoim czasie pomagało zorganizować T.S.K.Ż. – Towarzystwo Społeczno Kulturalne Żydów polskich, przy wybitnej finansowej pomocy Jointu. Prezesem spółdzielni był pan B., jeden z nielicznych pozostałych przy życiu żydowskich uczestników brygad międzynarodowych w Hiszpanii. Działały tam redakcje – rosyjska, niemiecka, hiszpańska, francuska. Najliczniejszą była redakcja rosyjska. Na miejscu zrobiono mi egzamin z rosyjskiego, dano mi do domu do przetłumaczenia, na próbę dość skomplikowany tekst i kazano przynieść za dwa dni. Podszedłem do tego z całą starannością i pilnością na jaką było mnie stać. Przetłumaczony tekst przyniosłem w oznaczonym terminie. Kazano mi znowu przyjść za dwa dni i wtedy miałem otrzymać finalną decyzję. Dwa dni przeszły. Pokazano mi mój tekst, “trochę “pokrwawiony” czerwonym ołówkiem sprawdzającego. W konkluzji decyzja była pozytywna. Zostałem przyjęty do rosyjskiej redakcji.

Wyżej wspomniałem o T.S.K.Ż.-ecie. Kilka słów wyjaśnienia odnośnie tej organizacji. W 60-ych latach w Polsce było Żydów tyle co kot napłakał. Na ile pamiętam, to około 10 tysięcy, chociaż mogę się mylić. Jeżeli władze godziły się z jej istnieniem to znaczy, że musiała być pro-reżymowa. Organizacja jako taka, taka i była. A ludzie którzy nią kierowali ? Tu mam wątpliwości. Może i Sowietci w tym względzie mieli trochę racji, że Żyd zawsze pozostaje Żydem i ufać takiemu nigdy nie należy. Żydów zawsze trzeba mieć na czujnym oku. Wprawdzie nie pisanym ale w życiu powszechnie wyznawanym pryncypem sowieckiego komunisty było: “Ja kominist, ja internacjonalist, no Żydow ja nienawizu”. Tego i nawet tłumaczyć nie trzeba – wszystko jest jasne. Żydzi w T.S.K.Ż.-ecie rzeczywiście mieli żydowskie serca. Gdzie tylko mogli, Żydom pomagali. Żydowskie kolonie dla dzieci zawsze były lepiej wyposażone aniżeli polskie. Podobnie bursy akademickie dla studentów Żydów. Działalność artystyczna dzieci żydowskich zawsze była oczkiem w głowie kierownictwa T.S.K.Ż.-u. Wydawano nawet żydowską gazetę (tygodnik zdaje się), czasem książki w tym języku. A Teatr Żydowski z Idą Kamińską, to rzecz bez znaczenia ? Jasne, że utrzymanie tego teatru nie mogło się obyć bez wysokich subsydiów rządowych i bez wydatnej pomocy Jointu. Ciekawe, że już później, (nas już wtedy tam nie było) bez Kamińskiej i prawie, że bez żydowskich aktorów i bardzo nielicznej społeczności żydowskiej, teatr wciąż egzystował i działał. Żydowskich aktorów zastąpili młodzi Polacy entuzjaści żydowskiej sztuki teatralnej, których nauczono języka. Zainstalowano symulacyjną aparaturę tłumaczeniową, także teatr mógł być odwiedzany przez warszawską elitę intelektualną i aktorską.

Ten rząd chciał dowieść za wszelką cenę zachodniemu światu, że odcina się od antysemityzmu, jego zdaniem, tylko pewnych warstw społeczeństwa polskiego. Czy mu się to udało ? Myślę, że nie. Bo jak im można było wierzyć, kiedy najpierw wyganiaли a później bili się w nie swoją pierś. Polska po 57-ym i 68-ym roku była klasycznym przykładem, że dla istnienia antysemityzmu niekoniecznie muszą być Żydzi. Że antysemityzm jest swojego rodzaju socjalizmem dla biednych ? Nie wiem, nie znam się na tym. Może być, że wyjaśnienie tego problemu należałoby szukać w książce Paul Johnsona “History of the Jews”, oczym już poprzednio wspomniałem.

Ciekawa rzecz. Przewodniczącym T.S.K.Ż.-u w tym czasie był były sowiecki superszpieg w Zachodniej Europie w czasie II-iej wojny światowej, twórca i lider słynnej Czerwonej Orkiestry (Die Rote Kapele) – Lajb Domb, albo jak kto woli – Leopold Trepper, polski Żyd z Nowego Targu. Co i ile on zrobił dla Sowietów i czym oni mu się odplacili, można się dowiedzieć z jego książki “The Great Game –Memoirs of a Masterspy”. Inny sowiecki szpieg w Japonii, nie Żyd tylko Niemiec, powieszony w Japonii, Richard Sorge, został pośmiertnie uznany za Bohatera Związku Radzieckiego i odznaczony Złotą Gwiazdą i Orderem Lenina. A

jaką nagrodę za swoje, wcale nie mniejsze a może nawet i woiększe bohaterstwo w tej wojnie otrzymał Leopold Trepper ? Jego “nagrodą” było 10 (dziesięć) lat sowieckich łagrow. Jedyłą “przewagę” jaką Sorge miał nad Trepperem było to, że Sorge nie był Żydem.

Pracę moją, tłumaczenia, robiłem w domu. Odpowiednio się do tego zorganizowałem ( w tym miejscu muszę sam siebie pochwalić, że moi przełożeni zawsze i wszędzie uważali, że pod względem organizacji byłem lepszy od innych). Rano dzieci odprawiałem do szkoły, Gina szła do swojej pracy i dopiero potem, ja zasiadałem do swojej pracy. A że tzw. “Sitz Fleisch” czyli kamienny zadek pozostał mi jeszcze z czasów studenckich, więc “zasuwałem” i to jak najwięcej ażeby dużo zarobić i możliwie należycie przygotować rodzinę do nowej drogi jaka nas czekała. Trzeba przyznać, że płacono mi dobrze. Mój rozkład dnia wyglądał następująco: pięć bitych godzin od 8-ej rano do 13-ej w południe, przerwa obiadowa od 13-ej do 15-ej w czasie której czasem podjeżdżałem do Pałacu Kultury gdzie było nieduże kino w którym wyświetlano krótkie i czasem niezłe filmy, potem od 15-ej do 18-ej znowu bite trzy godziny. Na żadne popołudniowe drzemki sobie nie pozwalałem; nie miałem na to ani potrzeby, ani też przyzwyczajenia. (To pozostało mi do dzisiaj).

Jerzyczek był zdolnym dzieckiem, miał tzw. “dobre łapiństwo” (szybko chwycił), ale żeby aż tak dużą chęcią pałał dla zdobycia wiedzy – nie powiedziałbym. On uważał, że telewizja jest o wiele lepszym i ciekawszym źródłem wiedzy aniżeli szkoła. Próbowałem, może być za słabo, oponować – bez skutku. Mamusia zawsze brała go “w obronę”, tak jak to kiedyś w przedwojennej audycji radiowej: tatusiu, nie męcz dziecka. W dawnych czasach to jednak było inaczej. Wtedy chęć do nauki wbijano do głowy poprzez tyłek.

W związku z tym przypomniało mi się jak to jeszcze w szkole powszechnej nasz nauczyciel poskarżył się ojcu jednego z uczniów, że ten nie tylko nie odrabia lekcji, ale że też przeszkadza na lekcji. Ojciec tego ucznia był strażakiem co wchodził na najwyższy szczebel drohobyckiej wieży ratuszowej wypatrując czy się gdzieś nie pali. Ojciec przyszedł do szkoły, nauczyciel zebrał całą klasę i wtedy ojciec kazał chłopcu spuścić spodnie, położyć się na ławce i przyniesionym ze sobą kijem zaczął mu wymierzać karę. Jednemu z uczniów kazał liczyć. Ile tych kijów było –10 czy 15, nie pamiętam. Co zapamiętałem to, że chłopak wił się z bólu, krzyczał, płakał, ale wywinąć się próbował. Po skończonej “lekcji wychowawczej” ojciec rozkazał mu naciągnąć spodnie i potem nadstawił rękę – jasne, że do pocałowania. No i co ? Oczywiście, że chłopak chlipiąc ucałował ojcowską dłoń. Tak to kiedyś “wychowywano” dzieci.

Z Ludką było inaczej. Ona była spokojnego usposobienia. Na lekcji siedziała grzecznie, z tyłu założonymi rękami (taki był wtedy zwyczaj), nie wierciła się i nie przeszkadzała. Lekcje zawsze miała odrobione (że z mamusią pomocą ? No to co ?). Coś jednak musiała mieć ze mnie, ten “sitzflaisz”. Miała ładne pismo (w odróżnieniu od Jerzyka który pisał jak kura pazurem) i zacięcie do rysunku. Zapisaliśmy ją do kółka rysunku dziecięcego w Pałacu Kultury. W 1960-ym roku jeden z jej rysunków wysłano do New Delhi w Indiach na “Shenkar’s Children’s Competition” – międzynarodowy konkurs rysunku dziecięcego. No i co powiecie ? Naszej Ludmiłce z jeszcze jedną dziewczynką z Krakowa przyznano dwie pierwsze nagrody Premiera Indii, Jawarhalala Nehru. Było o tym w gazetach i w radiu i nawet dotarło do Ameryki, bo moja siostra przysłała nam wycinek z tamtejszej polonijnej gazety. Zaproszono nas do Ambasady Indyjskiej w Warszawie i tam pan ambasador wręczył jej dyplom i podarunek – srebrny półmisek. Taka była wtedy ta nasza Ludmiła.

Jak już wspominałem, mieszkaliśmy na muranowie na ulicy Dzielnej, niedaleko dawnego Pawiaka i Gęsiówki. Frontową ulicą dzielnej była ulica Nowolipki. Na tej ulicy, blisko nas, był kościół z plebanią (to właśnie w tej plebanii przebywał w czasie okupacji profesor Ludwik Hirschfeld o czym on sam wspomina w wydanej po wojnie książce “Dzieje Jednego Życia”), jedyne zabudowania w tej dzielnicy gettovej pozostałe po powstaniu w Gettcie Warszawskim. Pewnego dnia w tym kościele stał się “cud”. Na szczycie wieży kościelnej podobno miała się ukazać Matka Boska. Co się wtedy działo nie da się opisać. Ekstazy religijne dochodziły do zenitu. Tłumy z Warszawy i okolic oblegały kościół i blokowały przyległe

ulice. Pełno było chłopskich furmanek z nieuleczalnie chorymi których ten “cud” rzekomo miał uleczyć. Trwało to ileś tam dni (nie pamiętam ile). Władze nie były w stanie sobie z tym poradzić. Czynniki kościelne wprawdzie oficjalnie “cudu” nie potwierdzały, ale też i nie zaprzeczały. Widocznie komuś ten “cud” musiał być na rękę. Dopiero później świeckie koła rzeomy “cud” tłumaczyły w następujący sposób: wieża kościelna była zakończona połączoną kopułą. Kiedyś, ktoś, biorąc pod uwagę, że na odnowienie pozłoty nie będzie dostatecznych środków pieniężnych, dla uniknięcia pełnego zniszczenia kopuły na skutek erozji atmosferycznej, postanowił pokryć kopułę grubą, nie-metalową warstwą ochronną. Było lato i temperatura w ciągu dnia była wysoka, kopuła nagrzana od zewnątrz oddawała dużą ilość ciepła do wewnątrz, docierając do metalowej powłoki kopuły i do jej wewnętrznej, pustej przestrzeni. Po zachodzie słońca, w godzinach wieczornych kiedy temperatura na zewnątrz kopuły była niższa od temperatury wewnątrz kopuły, ciepło zaabsorbowane w ciągu dnia emanowało na zewnątrz, tworząc coś w rodzaju aureoli ciepłego powietrza powodując przy tym efekt optyczny w postaci odbłasku. I właśnie to mogło dawać złudzenie tłumaczone jako “cud”. Oczywiście, można z takim podejściem dyskutować i manipulować na różne sposoby.

W tym samym mniej więcej czasie głośną była afera zabójstwa syna Bolesława Piaseckiego, “wodza” przedwojennej falangi, organizacji o faszystowskich inklinacjach. Po wojnie Piasecki był liderem Stowarzyszenia Katolicko-Społecznego PAX. Ciekawą rzeczą jest to, że sowieci gdzieś, kiedyś go schwycili i podobno skazali na śmierć. Widocznie jednak musieli dojść do wniosku, że z martwego Piaseckiego żadnej korzyści nie będą mieli, natomiast żywy Piasecki może być dla nich duży “Asset” (adwantaż, korzyść), szczególnie jeżeli chodzi o rozbicie jedności kościoła katolickiego w Polsce. Różne o nim krążyły nieprzyzwoite wieści. To chyba jego “wynalazkiem” byli tzw. “księża patrioci”. Apropoz, krążył kiedyś dowcip – jakie jest najlepsze pochodzenie społeczne ? Odpowiedź: matka praczka, ojciec ksiądz patriota.

Faktem niezaprzeczalnym jest, że za przyzwoleniem ówczesnych władz, Piasecki stworzył olbrzymi konglomerat gospodarczy i wydawniczy. Miał swoją prasę która służyła wyłącznie jemu i za jego pośrednictwem reżymowi, publikował bardzo wiele książek, sam był posłem na sejm P.R.L.-u ze swoim bardzo wpływowym klubem poselskim, i nawet, jeżeli się nie mylę, członkiem Rady Państwa. I to wszystko za niewątpliwą “protekcją” Sowietów Ale dlaczego i za co syna mu zabili ? Tego nie udało się ustalić, przynajmniej publicznie. W górach rządowych, a już najbardziej w bezpiecze, a w szczególności pani dyrektor Bristigerowa z pewnością musieli wiedzieć za co to niewinne (?) chłopczyko zeszło z tego świata. Czy za jakieś przewinienia ojca albo za niwypełnienie przyjętych przez niego zobowiązań ? Kto ich tam wiedział ? Sowieccy oprawcy i ich polskie pacholki zdolni byli nie tylko do takich, ale dużo gorszych rzeczy. Do naszego wyjazdu nic w tym względzie nie było wiadome. Mnie to interesowało chociażby z tego powodu, że puszczono pogłoskę, że zabili go Żydzi z zemsty za przedwojenną falangę ojca i że ten rzekomy żydowski zabójca uciekł do Izraela.

Chcę się trochę cofnąć do lat 50-tych, bo ma to związek z naszym pobytom w Polsce po wojnie. Na poprzednich stronach wspomniałem, że w 53-im roku, już po śmierci Stalina mój brat, Fredek, został zwolniony z łagru po pełnym odsiedzeniu swoich 10-iu lat. Żadnej amnestii dla byłych polskich obywateli, a było ich kilka, jego nie objęły. Przy zwolnieniu dano mu paszport – dowód osobisty – z tzw. “paragrafem” na podstawie którego nie wolno mu było mieszkać w żadnym większym mieście o pewnej z góry określonej ilości mieszkańców. O jaką ilość chodziło – nie pamiętam. Pojechał do miasta Uman na Ukrainie. Tam zapoznał kobietę, Żydówkę, wdowę po pilocie wojskowym. Jej mąż, Rosjanin był oficerem pilotem – oblatywaczem pierwszych samolotów odrzutowych. Podczas jednego z próbnych lotów jego samolot eksplodował w powietrzu. On zginął i ona została z córką. Niedługo po tym “rozpisali” się, tzn. zawarli formalny ślub. Jej córkę mój brat wychowywał jak swoje własne dziecko, jakkolwiek zawsze figurowała na nazwisko ojca, co było konieczne z uwagi na to, że dostawała po nim wojskową rentę sierocą. Pierwszy list od brata otrzymany w 53-im roku brzmiał mniej więcej tak: 15-go lipca 1953-go roku zakończyłem swój uniwersytet, żywu charaszo i

zarabywaju niczewo. Rosyjskie słowo “niczewo” jest bardzo wieloznaczne; może ono m.in. oznaczać “nic”, albo “niczego sobie”. W ten sposób dawał mi do zrozumienia, że żyje, ale pracy otrzymać nie może. Gdzie by się nie starał urządzić, wszystko szło gładko, aż do chwili kiedy padało pytanie co robił przez ostatnie 10 lat. Wtedy pytającemu mina rzedła i kazano mu przyjść za kilka dni po odpowiedź. Zawsze była ona negatywna. Przy zwolnieniu z łagra powiedziano mu, że jeżeli będzie miał jakieś trudności w urzędzeniu się do pracy, ma się zgłosić do miejscowego naczelnika N.K.W.D. i ten na pewno mu pomoże. Tam, w łagrze przy zwolnieniu powiedziano mu, że te miejscowe gadziny większość których na pewno pomagało Niemcom w czasie okupacji będą mu robić trudności – “Ty człowiek prowiernyj, pro tiebia my wsio znajem” mówili mu. Początkowo bratu nie bardzo się chciało iść do tego miejscowego N.K.W.D., ale po ciągłych odmowach, nie mając innej rady – poszedł. Ten go przyjął nawet niezłe, po “przyjacielsku” poklepał po plecach i spytał gdzie ostatnio był, podniósł słuchawkę, zadzwonił i w soczystym rosyjskim skłął najpierw jego matkę a później jego samego, potem podał bratu rękę i powiedział: wróć tam, miejsce masz “zaklepane”; jeżeli coś będzie nie tak my tę gadzinę nauczymy jak należy rozmawiać z takimi sprawdzonymi ludźmi jak ty. Tak się w Sowietach załatwia tego rodzaju sprawy. W tym względzie biurokracja nie ma zastosowania. I rzeczywiście wrócił, wszystko było gotowe i załatwione na 102. Nazajutrz z rana zgłosił się do pracy. O tym wszystkim Fredek mi opowiadał podczas naszego spotkania w Moskwie dokąd przyjechał ażeby się ze mną pożegnać. Ja mu przedtem dałem znać, że to jest moja ostatnia podróż i że niedługo potem zechcę zobaczyć się z naszą siostrą. O Izraelu oczywiście nie było mowy. Po tym zaczęła się sprawa jego repatriacji do Polski. Przesłałem mu wszelkie niezbędne ku temu dokumenty potwierdzające jego polskie obywatelstwo do września 1939-go roku. Nic nie pomogło. Ciągłe otrzymywał odmowę bez podawania przyczyn.

W tym czasie pełnomocnikiem rządu polskiego w Moskwie do spraw repatriacji był. M.P., były bereziak, współwięzień Pawła N. Paweł często bywał w Moskwie służbowo. Poprosiłem go ażeby spróbował coś załatwić przez M.P. Był i przedstawił całą sprawę. M.P. dał mu list do swojego przedstawiciela w Kijowie ażeby ten wszystko wyjaśnił i ostatecznie załatwił. Tak się dobrze złożyło, że Paweł N. miał w Kijowie pewne sprawy do załatwienia. Był w Kijowie, oddał list. Kijowski przedstawiciel kazał Pawłowi N. przyjść za kilka dni. Po kilku dniach przekazał mu oficjalną pisemną odpowiedź jaką otrzymał od sowieckich czynników zajmujących się repatriacją. Brzmiała ona, że wszystkie dokumenty przedstawione są w porządku tylko, że “podstaw do wydania zezwolenia nie ma”. Czegoś takiego nawet sam wielko Gogol nie mógłby wymyślić w swoim “Rewizorze”. Podczas mojego ostatniego pobytu w Moskwie o czym już wspominałem, po rozmowie z żoną brata, Rają, wyjaśniła się przyczyna odmowy. Otóż po pierwszym złożeniu papierów żonę brata wezwano na rozmowę samą, bez brata. Zaczęto na nią naciskać, że niby jak to ona, żona sowieckiego oficera który zginął w służbie dla sowieckiej ojczyzny, ojca córki może się zgodzić na coś takiego jak wyjazd do kapitalistycznej Polski (bo takie zdanie o Polsce mieli nie tylko ci urzędnicy, ale też i inni, na o wiele wyższym szczeblu). Raja broniła się jak mogła, że to przecież mąż i ona nie może się sprzeciwić, bo zawsze żona powinna iść za mężem itd. Itp. Wtedy jej powiedzieli: ty nam tylko podpisz ten papier, a resztę już my sami załatwimy bez ciebie i nikt o niczym nie będzie wiedział. No i podpisała. I właśnie ten papier posłużył za rzeczywistą podstawę do odmowy. Bo wszystkie inne dokumenty były w absolutnym porządku.

Później wynikła inna sprawa. Brat z rodziną mieszkał w starym, małym domku. Pewnego dnia zjawił się właściciel tej “rezydencji” i powiedział, że opuszcza Umań i że albo kupią ten domek, a jeżeli nie, to niech sobie poszukają innego mieszkania. Kiedy brat mnie zawiadomił o tym, napisałem list do Przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej Z.S.R.R. (przewodniczącym wtedy był Woroszyłow) i przedstawiłem całą sprawę ze szczególnym podkreśleniem, że był ofiarą stalinowskiego kultu jednostki (było to po XX zjeździe partii) i odsiedział pełnych 10 lat i to za nic, że rozumiem sowieckie trudności mieszkaniowe i że w przypadku mojego brata najprościej byłoby ten problem rozwiązać dając mu zezwolenie na

wyjazd do Polski. Ja mieszkam w Warszawie w dość obszernym mieszkaniu i mogę go przyjąć do siebie. Żadnej odpowiedzi nie otrzymałem, natomiast po jakichś dwóch miesiącach brat mi napisał, że zawezwano go do Umańskiego komitetu partii i oznajmiono, że przyznano mu mieszkanie w nowowytbudowanych blokach mieszkalnych dla pracowników komitetu partyjnego (!). I jak tu nie wierzyć w “cuda”? W ten sposób rozwiązano jego problem mieszkaniowy, ale zezwolenia na wyjazd tak i nie dali. Dziwny (?) i czasem nawet śmieszny bywał ten sowiecki reżym. Jak na sowieckie warunki, mieszkanie rzeczywiście było luksusowe; dwa pokoje z kuchnią, łazienką i ubikacją. O czymś takim przeciętny sowiecki obywatel nawet marzyć nie śmiał.

Kilka lat temu (licząc od 60-ych lat) umarła Hela, żona Józka, brata Giny. Miała to być niewielka operacja na tle kobiecym. Była prywatną pacjentką jednego z najlepszych ginekologów szpitala M.S.W. Jak nas potem poinformowano, naruszyli jej nerw kontrolujący ruch robaczkowy jelit. Józek został sam z dwojgiem dzieci, już wtedy na “wygnaniu” w Lublinie. Jeszcze we Wrocławiu, jako Naczelny Dyrektor Dolnośląskiego Zjednoczenia Energetycznego miał jakiś prestiżowy zatarg z jednym ważnym prominentem partyjnym w tym zjednoczeniu, nota bene, Żydem. Ten był chytrzejszy, zaś Józek za bardzo uczciwy i przy tym naiwny. Wynikiem tego konfliktu było odwołanie Józka z Wrocławia i przeniesienie na bardzo podrzędne stanowisko (w porównaniu z wrocławskim) dyrektora elektrowni w Lublinie. Tam też ciężko zachorował. Było to jakieś bardzo skomplikowane zapalenie opon mózgowych na tle gruźliczym. Gina bardzo często jeździła do Lublina, bo tam pozostało dwoje nieletnich dzieci – Rysiek i Misia. Te podróże podwazyły i tak już nadwątlone zdrowie. Nuny z dziećmi już wtedy nie było; od kilku lat już byli w Izraelu. Rysiek był bardzo dzielny. Szybko nauczył się samodzielności i odpowiedzialności (szybko, bo musiał, bo innej rady nie było). Prowadził zakupy i w ogóle wszystko co potrzeba było. Józkiem w szpitalu opiekował się profesor Stein, znany w Polsce neurolog. Co tydzień robiono mu punkcję – pobierano płyn rdzeniowy z kręgosłupa dla stwierdzenia stanu choroby. Wyniki nie wykazywały polepszenia, a raczej na odwrót. Bywały okresy że go wypisywano ze szpitala. Zapoznał kobietę, bardzo przyzwoitą osobę, która po krótkim czasie zamieszkała z nimi. Dwie kobiety (Misia wtedy była jeszcze “małą kobietką”) w jednym domu w tym jedna która miała pełnić funkcję pani domu, to widocznie bardzo skomplikowana sprawa. Jednym słowem, ta duża kobieta z tą “małą kobietką” nie znalazły wspólnego języka. Nie było między nimi tego co się dzisiaj nazywa “chemii”, Józek bardzo nad tym bolał, ale co miał zrobić? Był jak gdyby między młotem a kowadłem – z jednej strony kobieta która mu bardzo odpowiadała, z drugiej strony córka którą bardzo kochał. A w środku, między tymi dwiema antagonistycznymi kobietami, był on – człowiek ze steranym zdrowiem, jakkolwiek w stosunkowo młodym wieku.

Moja praca w “Tłumaczu” przebiegała na ogół sprawnie, bez specjalnych emocji, W tym mniej więcej czasie zdarzyło nam się coś bardzo smutnego. Niedużo brakowało ażeby Jerzykowi i Ludce przybył braciszek. Lekarze kardiologów u których Gina była pod stałą obserwacją absolutnie się sprzeciwili. Przy wydatnej pomocy lekarzy bywalców w klubie prasy i książki udało się wszystko szybko i sprawnie załatwić. Zabieg przeprowadzono w szpitalu. Do tego smutnego wydarzenia nigdy żeśmy nie wracali. Nasze dzieci również nic o tym nie wiedziały; nie tylko dlatego, że daleko im jeszcze było do “dojrzałości” ażeby to zrozumieć; po prostu nie byliśmy w stanie o tym mówić. Przypuszczam, że do dzisiaj o tym nie wiedzą i że dopiero z tych zapisów się dowiedzą (1996-y rok). Bo dziś już są “dorośli” i mają swoje własne dzieci. Jerzykowi za 3 lata stuknie 50-tka, a Ludka jest młodsza od niego o 2 lata, ma dorosłą córkę, po wojsku, studentkę Haifskiego Uniwersytetu, syna o 3 lata od niej młodszego, jeszcze przed wojskiem i takiego najmłodszego 10-o letniego synka. Jerzyk też ma trójkę – najstarsza córka skończyła 13-cie lat, ten młodszy syn, 10 lat, a ten najmłodszy, słodziutki synek zaczął 5-y roczek.

Za każdym razem gdy o tym pomyślę, że Jej nie ma i nie może tego wszystkiego widzieć, nieopisana żałość mnie ogarnia.



Przypominam sobie znamiennej datę – 24 listopad 1963-go roku. Był wieczór, pracowałem jak zwykle, radio było włączone na B.B.C. Nagle podano mrozącą krew w żyłach informację: Prezydent Stanów Zjednoczonych John F. Kennedy został zamordowany. Trochę się wahałem czy podzielić się tą wiadomością z kimkolwiek. A może to wszystko okaże się nieprawdą ? Jednak zdecydowałem się zadzwonić do jednego z naszych bliskich przyjaciół. On również początkowo nie mógł uwierzyć i ciągle mnie przepytował czy abym dobrze słyszał. Na drugi dzień było jasne, że tak się stało. Przed ambasadą amerykańską tworzyły się kolejki ludzi chcących oddać swój skromny hołd jednemu z Wielkich Prezydentów. Właściwie, to do dzisiejszego dnia nie zostało całkowicie i bez wątpliwości wyjaśnione kto popełnił ten nieczyny czyn. Fakt zastrzelenia rzekomego zabójcy, Lee Oswalda, niemalże natychmiast po zabiciu Kennedygo rzucił cień na wiarygodność wszystkich przypuszczeń. Co jest ciekawe, że tym który chciał ująć się za krzywdę wyrządzoną narodowi amerykańskiemu był nie kto inny tylko “mały” mafioner, Jack Ruby, syn emigranta łódzkiego, Rubinsteina. Niedługo po tym i on został sprzątnięty. Podobno zmarł na raka w Dallaskim szpitalu. Już przedtem, przy innej sposobności pisałem, że żywych świadków się nie lubi, że najpewniejsi są świadkowie przykryci dwumetrową warstwą ziemi. Wiele lat później kilkakrotnie bywałem w Dallas i zawsze odwiedzałem miejsce tego tragicznego wydarzenia. W budynku dawnego składu książek szkolnych gdzie pracował rzekomy zabójca Prezydenta, Lee Oswald, i z którego miał paść ten morderczy strzał, dziś jest muzeum poświęcone wydarzeniom listopada 1963-go roku. Stamtąd widoczny jest wiadukt pod którym przejeżdżała kawalkada prezydencka i z którego padł inny strzał, ten który defacto zabił Prezydenta. Również i ten strzelec został sprzątnięty i to natychmiast. W Ameryce nieraz takie “cuda” się zdarzały.

Pod koniec 1963-go roku doszedłem do wniosku, że okres mojej przedwyjazdowej “kwarantanny” już minął i że nadszedł czas na złożenie papierów na wyjazd. Naiwność ludzka widocznie nie zna granic. Tak jak gdyby czas mógł zacierać fakty. Może wszędzie indziej, ale nie w krajach tzw. Dyktatury proletariatu. Tam istnieją specjalne archiwa z aktami z naklejką “Chranit wieczno”. A jednak, nikt się nie próbował mnie czepiać. Widocznie taka wtedy była wytyczna postępowania: chce, niech sobie jedzie; mieszkanie zostawia ? zostawia; miejsce pracy zostawia ? zostawia. Baba z wozu, koniom lżej. Później tylko wezwano moją żonę, Ginę, oddzielnie, beze mnie. Gina miała tzw. dobry wygląd: - blondynka, niebieskie oczy; dzieci również nie miały w sobie nic semickiego. Być może, że gdzieś tam w kuluarach M.S.W. ktoś podejrzewał, że ona nie jest Żydówką i że jej zgoda na wyjazd została przeze mnie wymuszona. Te moje przypuszczenia opierały się na faktach z lat 56 i 57. A może mnie się tylko tak wydawało ? Nie wiem. W kręgu naszych znajomych, tzw. “Żydów zakonspirowanych” dotąd nie ujawnionych i twardo uchodzących za Polaków, nasz przypadek miał stanowić rodzaj tzw. “test case”. Jeżeli u mnie to mogło chwycić, to niby dlaczego nie u nich ?

Na ten temat krążyły w owym czasie różne dowcipy. Oto niektóre z nich. Pewien Żyd zamierzał emigrować i nie bardzo wiedział jak się pozbyć legitymacji partyjnej. Po prostu wyrzucić albo komuś zostawić - bał się; chcąc więc być w porządku napisał podanie do komitetu partyjnego następującej treści: Z powodu mojego hercenfelera prosze mnie wypisać z pezetpeera, prosze mnie więcej nie trzymać za członek, kreśle sie z poważaniem, Icek Skowronek ”.

Inny znowu, miał kłopot z wypełnieniem w ankiecie rubryki “stosunek do Państwa Polskiego”; napisać, że stosunku nie ma – ze złości mogą go nie wypuścić; że stosunek ma - też dobry powód do nie wypuszczenia, bo niby jeżeli ten stosunek jest, to dlaczego wyjeżdża ? Długo się zastanawiał i w końcu wpadł na concept - rubrykę “stosunek do Państwa Polskiego” wypełnił taką oto formułką: “jak do własnej żony”. Referent załatwiający jego sprawę nie bardzo wiedział jak się ustosunkować do takiej odpowiedzi. Wezwał go i mówi: panie, różne bywały odpowiedzi w tej rubryce, ale takiej jak ta dotąd nie było, niech mi pan wytłumaczy co to ma znaczyć. Żyd się uśmiechnął i z przymrużeniem oka mówi: bo wie pan, muszę, bo muszę, ale przyjemności to nie mam.

W końcu otrzymaliśmy odpowiedź. Była ona pozytywną z tym, że pozbawiono nas obywatelstwa polskiego i zamiast normalnych paszportów wydano nam dokument podróży, dla każdego oddzielnie. Nie pamiętam czy był on ważny tylko aż do przekroczenia granicy i czy tam go należało zdać komendzie W.O.P. Chyba właśnie tak to miało być, bo spytałem o to urzędnika i ten potwierdził. A co potem ?, pytałem dalej. Popatrzył na nas ze zdziwieniem. Potem ? Potem to już wyłącznie wasza sprawa a nie nasza. O nic więcej nie pytałem. Te tzw. Dokumenty podróży były bez precedensu po II-iej wojnie światowej. Mimo woli wciskało mi się do mózgu porównanie z pierwszym okresem po dojściu Hitlera do władzy kiedy Żydów jeszcze nie wysyłano do "Vernichtungslager Auschwitz", bo takowego jeszcze nie zdążono wybudować i uruchomić. W tym okresie, jeszcze przed wprowadzeniem tzw. "Nürnbergergesetze" – Norymberskich Ustaw Rasowych zezwalano Żydom na opuszczenie Niemiec i nawet wydawano im niemieckie paszporty, z tym, że zawierały duży nadruk, JUDE, po całej przekątnej. Dokument ten również miał charakter jednostronny – nie upoważniał do powrotu. Czy w tym względzie mam jakieś pretensje ? Skądże. To co napisałem to tylko dla porównania.

Przedwojenne władze polskie trudno posądzać o filosemityzm i z pewnością bardzo chętnie by się Żydów pozbyli, gdyby tylko to było możliwe, ale takich niecznych metod nawet nie próbowali stosować. Madagaskar albo Uganda – owszem, ale bez przymusu i z prawem powrotu. Pamiętną była bezpośrednio przed wojną sprawa Zbąszynia, przygranicznego miasta w Poznańskim dokąd Niemcy wypędzili ze swego terytorium pewną ilość Żydów którzy kiedyś przedtem posiadali obywatelstwo polskie. Ówczesny rząd polski nie tylko ich przyjął ale podobno też uznał ich dawne obywatelstwo. Nas siłą fizyczną nikt nie wyganiał, to prawdą, ale nasz krok był podyktowany troską o przyszłość naszych dzieci, o czym wkrótce, bo w niewiele cztery lata później (1968-g rok) mogliśmy się przekonać. To był ten ostatni exodus po którym w Polsce pozostały żałosne resztki polskiego żydostwa. Polska prawie, że stała się "Judenrein". I to po tysiącletniej tradycji na polskiej ziemi.

Nasi nie-żydowscy przyjaciele mówili nam dokąd jedziecie ? Wam włos z głowy nie spadnie. O ich szlachetnych intencjach nie mieliśmy wątpliwości, ale oprócz nich w Polsce było nie mało jeszcze takich którzy słysząc słowo "szlachetność" sięgało po nóż i pałkę. To mi przypominało kolejny dowcip. Żyd postanowił z Polski wyjechać. Znajomi nie-Żydzi, próbowali mu ten krok wyperswadować - co panu w tej naszej Polsce przeszkadza ? Na to Żyd: nie co, tylko kto; przeszkadza mi mleczarz. Co ?, z powodu jakiegoś tam mleczarza chce nas pan opuścić ? Wstyd i hańba. A czym ten mleczarz panu przeszkadza ? Tym, powiada Żyd, że o 5-iej rano puka do moich drzwi. No i co w tym złego ? Nie, nic specjalnego, tylko skąd ja mam wiedzieć, że to mleczarz a nie forpoczta jakiegoś organu ? Trochę może przydługawy i myszką pachnący dowcip. Innym argumentem którym próbowano mnie odwieść od zamiary wyjazdu było: skąd znowu taka wrażliwość do papierków ? Czterdzieści lat (bo tyle sobie wtedy liczyłem) tej polskości, jaka by ona nie była, to tak sobie, przez okno się wyrzuca albo wodą w ubikacji się spłukuje ? Nie miałem na to odpowiedzi. Co mogę stwierdzić dzisiaj z perspektywy 34-ech lat w Izraelu, poza Polską - ciągle z dziećmi mówimy tylko po polsku, czytamy polskie książki, polskie gazety, oglądamy polskie sztuki i filmy jeżeli się ukazują, opowiadamy polskie dowcipy, po polsku się zabawiamy w towarzystwie, po polsku pijemy wódkę, na urodzinach śpiewamy polskie 100 lat. Czy to wszystko jest zupełnie bez znaczenia ? Że tej Polsce mam do zawdzięczenia wykształcenie ? Oczywiście, że tak. Nigdy tego nie zaprzeczam i nie zapominam. A te moje 20 prawie lat lojalnej pracy dla Polski, jakby nie było, to się nie liczy ? Możliwe powiedzieć, że pod tym względem jesteśmy kwita. Ale takich rzeczy za życia się nie kwituje, z nimi się do grobu schodzi.

Zgłosiliśmy nasze mieszkanie do administracji, bo potrzebny był odpowiedni papier. Administracja przysłała nawet kontrolera ażeby sprawdził czy wszystkie ściany, okna i drzwi są na miejscu. To samo dotyczyło rachunków za światło, gaz, telefon. Wszystkie ciężkie meble sprzedaliśmy za grosze. Te nowe, niedawno kupione postanowiliśmy zabrać (wstyd powiedzieć - dotąd nam służą). Wszystkie polskie książki zabraliśmy ze sobą. Zabraliśmy

wszystko co było niezbędne do natychmiastowego rozpoczęcia normalnego, codziennego życia już w nowym miejscu. Pieniądzy żeśmy nie wzięli z tej prostej przyczyny żeśmy ich nie mieli. Oszczędności jakieśmy mieli były zużyte na przygotowania do podróży. Zamówiliśmy lift - skrzynię dla zapakowania całego naszego "majątku". Miało to pójść drogą morską. Ze sobą wzięliśmy tylko podręczny bagaż.

Czy można rozpocząć nowe życie mając za sobą 40 (czterdzieści) lat życia w innym klimacie, innym środowisku, innej kultury, bez znajomości języka i jeszcze wiele innych przyzwyczajęń nabytych w przeżytych 40-tu latach ? Odpowiedzi na te wszystkie pytania trzeba będzie szukać w przyszłych latach. Żaden nowy początek nie jest łatwy i jak już kilkakrotnie wspomniałem – najpierw trzeba się do niego przyzwyczaić, potem polubić i dopiero wtedy łatwiej go będzie znieść.

W końcu nastał ten czerwcowy dzień 1964-go roku. Nie wiem czy każdy wyjeżdżający odczuwał to samo, niezmiernie przykre uczucie – jest dom - był dom. Z chwilą przekręcenia klucza w zamku – dom przestał istnieć. Wszystko jak gdyby zawisło w próżni. Nie ma domu. Uczucie bezdomności ogarnia całe jestestwo człowieka. Trudno jest opędzić się od myśli, że mimo wszystko to nie jest to samo co 25 lat temu, że to nie jest eszałon który wiedzie w nieznanie, tylko wygodny pociąg pasażerski ze zgóry określonym celem podróży.

## **EMIGRACJA - IZRAEL**

Wyjeżdżaliśmy z Dworca Gdańskiego pociągiem Warszawa - Wiedeń. Byliśmy jedyną wyjeżdżającą rodziną. Urzędniczka ambasady izraelskiej, Polka, odprowadzała nas do pociągu i tam nam miała wręczyć bilety kolejowe do Wiednia. Dużo, nawet bardzo dużo ludzi przyszło nas pożegnać. Ta pani była bardzo zdziwiona taką ilością odprowadzających - gdzieście państwo pracowali i coście robili? Już wiele rodzin wyprawiałam i z taką ilością nie przychodziło mi się spotykać. Myśmy w zasadzie nikomu specjalnie nie mówili. Widocznie ci ludzie sami się ze sobą musieli porozumieć. Ja zawsze miałem i do dziś się nie wyżyłem awersji do pożegnań. Była masa kwiatów i pożegnalnych upominków, nie zawsze wiadomo od kogo.

W końcu pociąg ruszył. Wzięto trochę czasu nim żeśmy z Giną ochłonęli. Dzieci szybko się przysposobiły do nowej sytuacji, tak zresztą jak wszystkie dzieci na całym świecie. Ich ta podróż fascynowała. Pociąg zatrzymywał się tylko na dużych stacjach. Zbliżaliśmy się do granicy. Zaczęła się kontrola celna i paszportowa. Nam odebrano nasze dokumenty podróży dając w zamian jakieś zastępcze papiery. Tak jak kiedyś, wiele lat temu podczas ewakuacji w 41-ym roku, tak i teraz straciłem poczucie czasu. Nie pamiętam ile czasu wzięta podróż z Warszawy do Wiednia i później z Wiednia do Wenecji.

Na dworcu we Wiedniu oczekiwaliśmy tamtejszy przedstawiciel Agencji Żydowskiej – Sochnutu. Zawieziono nas do podmiejskiej miejscowości gdzie był punkt zbiorczy, w którym grupowano emigrantów z różnych krajów dla odprawy do Izraela. Mieliśmy do wyboru albo natychmiastowy odlot samolotem z Wiednia do Tel-Awivu, albo też drogą morską do Haify via Wenecja. Wybraliśmy tę drugą trasę, bo niby dlaczego mieliśmy się spieszyć?

Kilkudniowy pobyt we Wiedniu i później pociągiem z Wiednia do Wenecji i stamtąd statkiem do Haify, w porównaniu z kilkugodzinnym lotem bez możliwości zwiedzenia czegokolwiek, stanowił dużą atrakcję dla dzieci.

Kiedyś ja również lubiłem jeździć pociągiem (oczywiście pasażerskim i nie w czasie wojny) i wyglądać oknem obserwując stale zmieniający się krajobraz. Moje zagraniczne podróże służbowe odbywałem zazwyczaj samolotem. Jeden raz postanowiłem pojechać do Moskwy pociągiem. Było lato, dwumiejscowy sleeping (było nas dwoje), wagon restauracyjny, dwa i pół dnia podróży, zielone pola i lasy dawały świetne odprężenie. Z Moskwy do Leningradu jechaliśmy pociągiem ekspresowym “Krasnaja Strieła”, tylko z jednym przystankiem. Do Berlina jeździło się pociągiem – sleepingiem. Wsiadano wieczorem na Dworcu Głównym w Warszawie, przesypano noc i na drugi dzień rano wysiadano na Berlińskiej Ost Bahnhof. W podobny sposób jeździło się do Pragi Czeskiej.

Stałe lokum mieliśmy w dawnym zamczysku pod Wiedniem – spanie i stołowanie. Codziennie jeździliśmy podmiejskim pociągiem do Wiednia. Chodziliśmy po ulicach, zwiedzaliśmy różne ciekawe miejsca – prawie jak turyści. Z Sochnutu dostaliśmy trochę kieszonkowego na drobne wydatki, do tego dochodziła skromna ilość naszych własnych dolarów. Dla Giny i dzieci to rzeczywiście była atrakcja. Po raz pierwszy zobaczyli kawałek zachodniego świata.

Po iluś tam dniach zawieziono nas do Wiednia na pociąg zmierzający do Wenecji. W Wenecji byliśmy kilka dni w oczekiwaniu na statek do Haify. Znowu zwiedzenie i tzw. “window shopping” - oglądanie wystaw bez kupowania. W końcu przyholowano nasz statek. Nazywał się “Athina”. Pod wieczór “zaokrętowaliśmy się”. Nasze kabiny były pod pokładem. Górne pokłady były dla turystów – dla nas niedostępne. Lato było w pełni i żadnych sensacji

morskich się nie odczuwało. Po siedmiu chyba dniach, wieczorem zobaczyliśmy światła Haifskiego Carmelu. Podobne do Neapolu a o wiele później również Caracas (Wenezuela). Przenocowaliśmy na statku i dopiero nazajutrz rano, po załatwieniu formalności można było zejść na ląd. Z pokładu widzieliśmy całą naszą izraelską rodzinę: Nunę, Henka, Irkę i Romka. Nie widzieliśmy się prawie 8 lat (z tym, że Gina w międzyczasie była tu turystycznie). Tego rodzaju powitań zazwyczaj się nie opisuje. Na jedną noc zawieziono nas do małego hoteliku w Haifie. Nazajutrz rano wszyscy pojechaliśmy do Berszewy, głównego miasta na pustyni Negew, gdzie nasza rodzina osiedliła się na stałe. Berszewa była miastem rozwojowym. Nasza izraelska rodzina przeszła już ten tzw. okres absorpcji, wcale nie łatwy. W pierwszym okresie mieszkali w tymczasowych, prymitywnych barakach, ale ze światłem elektrycznym, bieżącą wodą, ubikacją i tuszem – bez tego w tym klimacie życie byłoby nie do pomyślenia. Tubylcy – Beduini to zupełnie inna sprawa. To jest szczerp narodów - koczowników. Oni żyją w namiotach, bez tych wszystkich błag cywilizacji bez których każdy przeciętny Europejczyk nie mógłby się obejść. Dla nich ten stan stanowi swego rodzaju “way of life”, sposób życia. Innego oni nie to, że nie znają, ale i nie uznają. W ten sposób egzystują od setek lat i jak na razie – do żadnych innowacji i zmian nie są gotowi.

W tym czasie kiedy myśmy przyjechali oni mieszkali już w stałym, nowym mieszkaniu – dwie sypialnie, salon, kuchnia, balkon, łazienka, ubikacja. W nabyciu tego mieszkania wydatnie pomogła im haifska rodzina Henka. Większość tej rodziny przeżyła okupację niemiecką dzięki szlachetności i poświęceniu nie-żydowskich znajomych. A co to oznaczało i z czym było związane, już poprzednio wspomniałem. Cała ta rodzina już była ustabilizowana w Izraelu i mocno stała na własnych nogach. Henkowi (mąż Nuni) załatwił pracę ich przyjaciół z Jangi Julskich czasów. Była to stała praca, a co to oznaczało w owym czasie dobrze wiedzą ci z tzw. starożyłcy. Wiek i macanie mięśni wcale nie nażało do wymyślonych bajek. Nuna pracowała w wojskowym establiszmentcie, w Dimonie, jakieś 30 kilometrów od Berszewy; codziennie ją tam dowożono i przywożono. Stała praca w ogólności a tam w szczególności należała do wielkich dobrodziejstw. Spotkaliśmy tam wielu znajomych z wrocławskiego okresu. Wszyscy się do nas odnieśli z dużą serdecznością. Językiem towarzyskim był polski i to wcale nie tylko z naszego powodu. Najlepiej ten nowy język opanowała oczywiście Nuna. Jej zdolności również i w tym względzie były nieporównywalne. Ta “mała” Irusia urodzona w Uzbekistanie, w tym czasie odbywała służbę wojskową. Romek był wtedy już w wyższej klasie. Co ta rodzina robiła dla nas – nie da się opisać. Tego rodzaju poświęcenia tylko w książkach się spotyka. Irka i Romek już mieli towarzystwo izraelskie. Językiem domowym był wyłącznie polski. Oboje sobie zhebraizowali imiona – ona była Irit a on był Ran.

Ja wróciłem do Haify, bo właśnie tam mieliśmy dostać mieszkanie, nie tymczasowe tylko od razu stałe. Jeżeli chodzi o pracę, to w moim przypadku rejon zatoki haifskiej stwarzał dużo większe możliwości aniżeli Berszewa, bo właśnie tam był skoncentrowany przemysł w ogólności a w szczególności przemysł chemiczny w którym mój zasób doświadczenia jako inżyniera mechanika w tym właśnie przemyśle miał o wiele większe zastosowanie.

Po krótkim czasie przydzielono nam mieszkanie w nowym bloku, przeznaczonym wyłącznie dla specjalistów z wyższym wykształceniem. Blok ten, jako jedyny w tej dzielnicy był zaprojektowany w oparciu o wyższe standardy aniżeli wszystkie inne. W tych innych powierzchnia była dużo mniejsza, nie było wewnętrznych drzwi, zamiast łazienki z wanną były tylko tusze i temu podobne ograniczenia. Natomiast w tym naszym nowym bloku było wszystko jak powinno być w mieszkaniu przeznaczonym do stałego zamieszkania. Minusem było trzecie, ostatnie piętro, co w naszym przypadku było bardzo istotne ze względu na dolegliwości sercowe Giny. I tu, po raz pierwszy w tym nowym kraju w którym mieliśmy spędzić nasze późniejsze życie, zostaliśmy oszukani. O tym, że nam, z uwagi na serce Giny, trzeba dać mieszkanie nie na wysokim piętrze, uprzedzałem i prosiłem. Urzędnik nas przywiózł i na miejscu okazało się, że jest to ostatnie, wysokie piętro. On się zaklinał, że jemu powiedziano, że to nie jest ostatnie, wysokie piętro. Doradzał, żeby narazie wzięść to, a potem nam zamienią. Co

mieliśmy robić? Wszystkie inne plusy kusily. Pomyśleliśmy, że może rzeczywiście potem nam zamienią. Urzędnik zrobił swoje. Mieszkanie na nas "zaklepał" i u siebie zdjął z porządku dziennego. Wszystkie lata później pozostawaliśmy w tym samym, pierwszym mieszkaniu. W tym czasie mieszkania nowoprzybyłym "dawali" a nie sprzedawali. O żadnych przedpłatach, żyrantach wtedy nie było mowy (1964 rok). Płaciliśmy wtedy niewysoki czynsz i to przez wiele lat, do czego później jeszcze wrócę.

Na porządku dziennym stanęła sprawa nauki języka. W międzyczasie przybył nasz lift – skrzynia z naszym bagażem. Gina z dziećmi mogła już zamieszkać w Haifie gdzie dzieci miały pójść do szkoły, a zaczynanie w Berszewie i potem przeniesienie do Haify nie miało sensu, tym bardziej, że jak już wspominałem właśnie tam mieliśmy zamieszkać na stałe. Miejscowość nazywała się Kiriat Jam i stanowiła jak gdyby jedno z przedmieść Haify. Komunikacja z centrum Haify była o wiele lepsza aniżeli z innych podmiejskich miejscowości. Kilka autobusów o dużej częstotliwości plus tzw. "szeruty" – grupowe taksówki zabierające po 7 osób każda. Ceny były raczej umiarkowane. Nasz dom był jakieś 100 metrów od brzegu morza.

Tak więc Gina z dziećmi pozostała w Haifie, a ja wróciłem do Berszewy uczyć się języka na tutejszym "ulpanie". Ulpan był swego rodzaju znakomitą szkołą z całodzienną nauką, pełnym wyżywieniem i spaniem na miejscu. Można powiedzieć, że wszelkie warunki były dane ażeby się języka nauczyć. Rzecz tylko w tym, że trzeba się było tylko uczyć i to pełny dzień. Na inne zajęcia czasu nie pozostawało. U mnie jednak sprawa wyglądała inaczej. Ja musiałem zarobić na utrzymanie rodziny mieszkającej w Haifie. Znajomy inżynier załatwił mi częściową pracę w przedsiębiorstwie produkującym konstrukcje stalowe. Do południa uczyłem się języka, a po południu pracowałem. Wykonywałem prace kreślarskie, czasem też pomocnicze obliczenia statyczne. Właściciele byli bardzo przyzwoitymi ludźmi. W miarę możliwości szli mi na rękę. Główną trudność stanowił brak języka. Ten mój bezpośredni przełożony mówił po rumuńsku. W tym czasie przyjechało bardzo dużo tzw. Rumunów (tzn. Rumuńskich Żydów); jak się mówiło – kamieniem rzucisz, zawsze w Rumuna trafisz.

W tzw. "diasporze" czyli wygnaniu zawsze i wszędzie byliśmy tylko Żydami. Tu, w tej nowej Ojczyźnie, wszyscy nowoprzybywający przeistaczali się w Rumunów, Polaków, Węgrów, Francuzów, Marokańczyków, Argentynczyków – każdy w zależności od kraju pochodzenia.

Jeden z właścicieli trochę "kaleczył" po rosyjsku. Sam urodzony już tu, miał babkę która się nim opiekowała, pochodzącą z Rosji i od niej się trochę "zaraził" rosyjskim. Co trzeba przyznać, że Rumuni byli między sobą bardzo solidarni, wzajemnie sobie pomagali i jeden drugiego wprost za uszy ciągnął. Polaków nie cierpieli i to z wzajemnością.

Nauka w ulpanie polegała na nauce z nauczycielkami całe przedpołudnie, zaś popołudnie miało być przeznaczone na absorbcję i samoopanowywanie przedpołudniowych lekcji, bo na drugi dzień do tego się więcej nie powracało, tylko szło się dalej, naprzód. A właśnie tego mnie brakowało. Mnie na to czasu nie starczało, bo ja musiałem pracować i zarabiać na utrzymanie mojej rodziny w Haifie. Niektórzy spośród naszych znajomych byli zdania, że powinienem zostawić ulpan, pójść do pracy i tam stopniowo opanowywać język. Na zostanie hebraistą i tak nigdy nie miałem szans. Głęboko się nad tym zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że w obecnej sytuacji właśnie tak należy postąpić. Musiałem się przyznać do porażki. Zostałem "kaleką" językowym, inwalidą w tym względzie na całe późniejsze życie. Z pewną przykrością muszę się przyznać, że po 34-ach latach pobytu w tym kraju ani razu nie przeczytałem hebrajskiej gazety a tym bardziej hebrajskiej książki. Wcale nie znaczy to, że przestałem w ogóle czytać książki. Czytam – i to bardzo dużo po angielsku, rosyjsku, niemiecku i trochę po polsku. Nasz dom i tam i tu zawsze był domem książki. Czytali wszyscy – Gina, ja, Jerzyk, Ludka. Na złośliwe uwagi pod moim adresem, że jak mi nie jest wstyd, 34 lata w tym kraju i dotąd nie nauczyłem się hebrajskiego, wymyśliłem sobie formułkę "usprawiedliwiającą", że o wiele łatwiej było mi się wstydzić aniżeli uczyć się hebrajskiego. Prawdopodobnie, a może to tylko przesada z mojej strony, że Izrael jest chyba jedynym krajem na świecie gdzie można przejść przez życie bez znajomości tubylczego języka.

Jak więc sobie radziłem ? Ratowałem się znajomością rosyjskiego, niemieckiego, polskiego, żydowskiego i angielskiego. Ten ostatni, angielski, z czasem opanowałem go w takim stopniu, że stał się moim językiem roboczym, “working language”, wszędzie tam gdzie przyszło mi pracować. Jeżeli chodzi o hebrajski, to takim zupełnym, stuprocentowym neptkiem jednak nie zostałem. Trochę “bałakać” to się nauczyłem, bo musiałem. Pracowałem przecież z ludźmi na budowach, prowadziłem nadzór nad robotami i kontrolowałem wykonanie robót przez innych, a ci inni innego języka, oprócz hebrajskiego, nie znali.

Wróciłem do Haify. Przez znajomość urządziłem się do pracy w Zakładach Elektrochemicznych (E.I.F) “Frutarom” w pobliżu żydowsko-arabskiego miasta, Akko. Kiedyś do morskiego portu tego miasta dotarła flotylla Napoleońska. Nadzorowałem wykonanie robót mechanicznych związanych z techniką utrzymania ruchu, w ramach wydziału głównego mechanika. Moim bossem był starożyt w tym kraju, rodem z Rygi. Mówił po rosyjsku, tylko ze mną oczywiście, i już to było dla mnie dużym ułatwieniem. Główny udziałowiec firmy, amerykański Żyd, mieszkał w Cleveland w stanie Ohio. Proces produkcyjny i w ogóle technologia pochodziła od amerykańskiego giganta chemicznego, “Monsanto”. Raz do roku przyjeżdżał z kuruazyjną wizytą główny udziałowiec z Cleveland. Nie sądzę, ażeby z tej izraelskiej fabryki ciągnął jakieś zyski. On i bez tego był bogaty. Na swoje “utrzymanie” zarabiał w Ameryce. Tutejsza fabryka miała mu dać swego rodzaju zadośćuczynienie moralne. Zawsze przed jego przyjazdem kierownictwo fabryki urządzało ogólne sprzątanie, bo na ogół panował tu brud, bałagan i nieporządek. Pan główny udziałowiec lubił przechadzać się po oddziałach produkcyjnych i zagadywać aparatowych po żydowsku, a ci nic, ni be ni me ani kukuriku, bo w większości byli to wychodźcy z Maroka i mówili po arabsku i trochę po hebrajsku. On miał zadowolenie z tego, że prawie 350-iu Żydów w większości z pobliskiego Akko ma zapewnioną egzystencję. Na ogół podczas takiej wizyty kierownictwo fabryki prosiło o fundusze na budowę albo rozbudowę jakiegoś oddziału produkcyjnego. Przedstawiano mu wstępną wycenę, powiedzmy 4 miliony dolarów. Na ogół godził się, powiedzmy na 2 miliony, zaś pozostałe dwa niech rząd izraelski da. On swoje dwa; jak obiecał tak dał, a rząd swoją połowę jak nie obiecywał tak i nie dawał, bo może i nie bardzo miał z czego. Znaczna część budżetu musiała przecież iść na obronę.

To państwo od chwili swego powstania zawsze żyło w cieniu permanentnego zagrożenia. Taka heca z tym głównym udziałowcem powtarzała się co kilka lat i zawsze z tym samym skutkiem – obiecał to dał, nie obiecał to i nie dał. O tego rodzaju technice uzyskiwania funduszy na rozbudowę wiedziała cała społeczność fabryczna.

Zarabiałem wtedy tyle, że wystarczyło tylko na bieżące utrzymanie. Od czasu do czasu tylko udawało się zaoszczędzić trochę grosza. Nieco później podwyższono mi miesięczny zarobek. Dopiero tu, w Izraelu przekonałem się jaką siłą władają związki zawodowy. Zwolnienie pracownika nie mogło się obejść bez zgody komitetu pracowniczego, chyba tylko gdy w grę wchodziło przestępstwo natury kryminalnej – przyłapanie na kradzieży mienia fabrycznego. W przypadku uszkodzenia sprzętu fabrycznego kierownictwo fabryki musiało przekonać komitet fabryczny o fackie złej woli lub umyślnego uszkodzenia i tylko wtedy mogło danego pracownika zwolnić z pracy. O takich związkach zawodowych w powojennej tzw. Socjalistycznej Polsce i marzyć nie można było, nie mówiąc o parodii związkowej w Sowietach. W hitlerowskich Niemczech też istniały swego rodzaju namiastki związków zawodowych i to wcale nie lepszych od wyżej wspomnianych organizacji w Sowietach, a może nawet i powojennej Polsce. Ja byłem, w tamtym czasie, po prostu zafascynowany tutejszą formą związkową, co nie znaczy, że nie było wynaturzeń, czasem bardzo brzydkich jakie miały miejsce w późniejszym okresie. Każda władza korumpuje, a związki zawodowe miały władzę i to często niemałą, a więc i one nie były wolne od tej choroby.

W 65-ym roku moja siostra, Henia, z mężem przyjechała nas odwiedzić. I właśnie oni zaczęli mnie namawiać ażeby i ja zakosztował ten ich, amerykański styl życia i jeżeli przypadnie mi do gustu – ściągnę resztę rodziny. Długo się nad tym zastanawiałem. Jeszcze raz

zaczynać od nowa ? Czyżby mój wiek (miałem wtedy 42 lata) był odpowiedni do tego rodzaju eksperymentów ? A może jednak spróbować ?

Doszedłem do tego, że to będzie chyba moja ostatnia próba w moim życiu. W rzeczywistości tak i było. Gina wprawdzie nie była zachwycona tym moim postanowieniem, ale też i nie oponowała. Widocznie gdzieś w jakimś zakątku duszy tlił się cień nadziei, że z czasem nic z tego nie wyjdzie. Bardzo nie chciała nowej rozłąki ze swoją siostrą. Może dlatego zdecydowaliśmy, że najpierw pojedę ja sam, a później się zobaczy. Zwolniłem się z pracy, wziąłem rozliczenie, w banku zostawiłem pewną sumę pieniędzy wystarczającą na utrzymanie na co najmniej 6 miesięcy. Udało się wykupić bilet tylko w jedną stronę. Wizę miałem turystyczną. Nastąpił te, mimo wszystko, smutny dzień pożegnania. Już przedtem wspomniałem, że mam awersję do pożegnań. Jerzyk mnie odprowadził tylko do Tel-Awivu. Stamtąd już sam pojechałem na lotnisko. W Paryżu miałem mieć przesiadkę do Nowego Jorku dopiero w następnym dniu. Nocleg w hotelu objęty był ceną biletu. Miałem trochę czasu na zwiedzenie Paryża.

Na lotnisku Kennedy w N.Y. oczekiwali mnie mąż mojej siostry z synem Markiem. Mój przyjazd zbiegł się z amerykańskim świętem “ Thanksgiving”. W domu czekała na nas siostra z upieczonym indykiem.

Rodzina siostry do tego czasu zdołała się urządzić i to wczle nieźle. Kupili dom, wprawdzie stary, ale dosyć obszerny. Mąż siostry świetnie znał się na majsterkowaniu i w krótkim czasie doprowadził dom do pełnej sprawności. Zawsze dwa, a z czasem i trzeci pokój na poddaszu były odnajmowane sublokatorom, zawsze samotnym, bez prawa przyprowadzania drugich osób. W ten sposób pomagało to w spłaceniu “montagage” – miesięcznej spłaty za dom. Dzielnica, Jamaica – Quins, uważana była za dobrą. Tak zwani afro-amerykanie wtedy tam nie mieszkali. Szwagier, z zawodu elektryk, szybko przestawił się na instalacje kompletnych urządzeń pralniczych. Zrobił się bardzo cenionym i poszukiwanym specjalistą w tej branży. Siostra pracowała jako urzędniczka w dużym biurze ubezpieczeń.

Od razu na drugi dzień Marek zabrał mnie na pobieżne zwiedzenie Nowego Jorku. Pierwsze wrażenie było oszołamiające. Te drapacze chmur, ruch na ulicy, i pod ziemią robiły niezwykle wrażenie. Po dwóch dniach Marek mi załatwił tzw. Social Security Card. Z numerem Social Security Card Amerykanie się rodzą i umierają.

Już za pierwszych dni zacząłem się rozglądać za pracą. Problem był bardzo trudny i skomplikowany. Oficjalnie, na podstawie turystycznej wizy nie wolno było pracować. Takich jak ja, z takimże statusem w Nowym Jorku było bardzo wielu. Pokątnie się jakoś urządzali na “czarno” najmowali adwokata (za niemałe pieniądze) i on z czasem załatwił im tzw. “Green Card” – zieloną kartę, która przekształcała go w tzw. “Permanent Resident”, z wszystkimi amerykańskimi prawami łącznie z prawem do pracy, wyłączając prawo głosu na prezydenta Stanów Zjednoczonych oraz członków Senatu i Kongresu.

Zacząto mnie oprowadzać po różnych znajomych w nadziei, że może oni potrafią coś dla mnie znaleźć jeżeli chodzi o pracę. Przeważnie byli to drobni rzemieślnicy, właściciele niedużych warsztatów zatrudniających kilku pracowników. Pierwsze pytanie jakie padało było jaki mam zawód. Kiedy usłyszeli, że jestem inżynierem, kiwali głowami – oj, niedobrze, niedobrze. Takiego przecież oni u siebie nie mogli zatrudnić mimo najlepszych chęci. Postanowiłem nie zdawać się na nikogo i samemu wziąć się za to. Po kilku dniach znalazłem tzw. Personal Agency gdzie po wstępnym “przesłuchaniu” skierowano mnie do firmy poszukującej ludzi z doświadczeniem takim jak mojej. Zadzwoiłem i powiedzieli, że jednego z takich co im podchodzi właśnie znaleźli i posyłają go do nich. Z każdego takiego delikwenta agencje zazwyczaj pobierały jego dwutygodniowy zarobek. W niektórych przypadkach gdy pracodawca pilnie poszukiwał pracowników, onże pokrywał te dwa tygodnie. Widocznie miałem szczęście, bo mój przypadek właśnie pod to podchodził. Firma nazywała się “The Lummus Company” i była jedną z pięciu największych w USA w dziedzinie projektowania i budowy fabryk dla przemysłu rafineryjnego i petrochemicznego. Właśnie zaczynał tego



rodzaju duży projekt dla Meksyku. Natychmiast się tam udałem. Kazali mi dokładnie opowiedzieć z jakiego rodzaju aparaturą chemiczną miałem do czynienia i jakie czynności w tym zakresie wykonywałem. Widocznie moje odpowiedzi musiały ich zadowolić, bo powiedzieli, że przyjmują mnie na 6-io tygodniowy okres próbny i jeżeli się “wykażę”, to będę mógł zostać u nich na stałe i oni mi załatwią wszystkie formalności związane z zezwoleniem na pracę i otrzymanie Green Card – Zieloną Kartę. Już jutro kazali mi stawić się do pracy. Przydzielono mnie do pracy w Heat Transfer Division – pracowni wymienników ciepła. W tej dziedzinie miałem praktyczne doświadczenie zarówno jeżeli chodzi o obliczenia wytrzymałościowe, konstruowanie i fabrykację wymienników ciepła. Czulem, że jestem pod stałą inwigilacją która miała potwierdzić czy to co im mówiłem przy przyjmowaniu mnie do pracy pokrywa się z praktycznym doświadczeniem. Fakt, że już po 4-ch tygodniach wezwał mnie mój boss i powiedział, że mnie przyjmują, dał mi do podpisania upoważnienie dla ich radcy prawnego dla wszczęcia postępowania w Urzędzie Imigracyjnym dla otrzymania Green Card. Sam fakt wszczęcia postępowania automatycznie zdejmował ze mnie “klejmo” “parującego na lewo”, bez zezwolenia. W tym dniu zacząłem pracować legalnie i bez strachu, że w każdej chwili mogą mnie z tej Ameryki wyrzucić.

Czymś musiałem za to zapłacić. Ceną było zakwalifikowanie mnie do jednej z najniższych kategorii płacowych dla pracowników technicznych. W Ameryce w altruizmy nikt się nie bawi. Nic i nigdzie tam nie ma za darmo. Bardzo się starałem i często w domu, wieczorem sprawdzałem samego siebie co zrobiłem za dnia w biurze. Za wszelką cenę starałem się nie zawieść kredytu zaufania jakim mnie obdarzono. Otworzyłem sobie konto w banku niedaleko domu. Pieniądze do domu przekazywałem w żywych dolarach przy każdej okazji przez znajomych. Trudności pieniężnych podczas całego mojego pobytu w Stanach, moja rodzina w Izraelu nie odczuwała. Co tydzień wysyłałem do domu dwa listy – jeden krótki aerogram w środku tygodnia, drugi zazwyczaj 5-cio stronicowy w każdą sobotę. Przez te całe dwa lata bardzo tęskniłem. Przerwy urlopowe poza granicami U.S.A. w czasie gdy postępowanie dotyczące Zielonej Karty nie zostało zakończone były niedopuszczalne.

Wojnę 6-io dniową w 67-ym roku przeżywałem w Nowym Jorku. Moje odczucia w czasie tych dni można sobie wyobrazić. Mimo woli udzielały się one wszystkim domownikom. Biuro było w Manhatanie – 41-a ulica róg Lexington Avenue. Do pracy jeździłem subwayem (kolejką podziemną). Z pracy chodziłem kawałek piechotą – 42-gą ulicą i 5-ą Avenue i tymże subwayem wracałem do domu. Lubiłem dużo chodzić. Niedziele zawsze spędzałem na przemierzaniu piechotą tego miasta-giganta. Nowy Jork jest szalenie ciekawym miastem; bardzo go polubiłem, pomimo brudu na peryferiach i niebezpieczeństw czyhających z każdego zaułka. Niebezpieczne ulice starałem się unikać. Zwiedzałem wszystkie możliwe muzea i wystawy. Szczególnie fascynowało mnie Museum of Modern Art.

Agendy biura były porzucane w różnych miejscach Nowego Jorku i New Jersey. Generalna dyrekcja postanowiła skoncentrować wszystkie agendy biura w jednym miejscu. W tym celu wybudowano tzw. Head Quarter – kwaterę Główną w miejscowości Bloomfield w stanie New Jersey; ogromny kompleks gmachów. W grę wchodziły nie tylko koncentracja organizacyjna, ale również i względy podatkowe. Nowy Jork pod względem podatkowym był bardzo drogim miastem. New Jersey był o wiele bardziej liberalny. Pewnego dnia, w piątek, zapowiedziano nam, że w poniedziałek przychodzimy do pracy już w Bloomfield. Taką organizację przeprowadzki, bez stracenia nawet jednej roboczo-godziny, tylko Amerykanie się mogą poszczycić. Wszyscy pracownicy otrzymali dokładną pisemną instrukcję jak się dojeżdża, czym, ile czasu to zabiera i nawet ile kosztuje. W poniedziałek rano wszyscy byli w wyznaczonym miejscu i godzinie – każdy przy swoim stole roboczym, ze swoim koszem na śmieci – tak jak gdyby nigdy nic nie zaszło, oprócz zmęczenia przeszło dwugodzinną jazdą, w pierw subwayem a potem autobusem. W związku z drogą zabierającą stosunkowo dużo czasu, dyrekcja postanowiła każdemu pracownikowi dojeżdżającemu z Nowego Jorku stworzyć opcję kupna domku w okolicy Bloomfield, przy wydatnej pomocy firmy.

W moim przypadku to nie wchodziło w rachubę, bo z chwilą otrzymania Zielonej Karty miałem zamiar pojechać do domu, na miejscu omówić całą sprawę i w sposób definitywny zdecydować – tu czy tam.

Mnie do pracy zabierało około dwie godziny w jedną stronę, co w Ameryce jest często spotykane biorąc pod uwagę “korki” i trudności parkowania. Jeździłem subwayem do Central Bus Station, stamtąd windą na 4-e piętro gdzie czekał czarterowy autobus do Lummusowego parkingu. Z domu do subwayu miałem bardzo blisko. U wejścia kupowałem gazetę – New York Times. Starczyło mi na całą drogę w obie strony. Doskonała gazeta, chyba jedna z najlepszych i najciekawszych na świecie. Założona przez Żydów i do dziś Żydzi odgrywają w niej dominantną rolę co wcale nie oznacza, że jest prożydowska, a jeszcze bardziej – proizraelska. Mimo to bardzo ją polubiłem i chętnie do niej co dzień powracałem. Po przejrzaniu tytułów na pierwszej stronie, zaczynałem od czytania nekrologów (zwyczaj ten pozostał mi do dziś). Oczywiście, że zawsze dotyczyły one ważnych osobistości życia politycznego i kulturalnego. Często zamieszczana była fotografia zmarłego sprzed 20-30-u lat. Ludzie nie czytający tekstu nekrologu, a były zawsze długie, ciekawe i pouczające, wyrażali zdziwienie: Boże, jak to ludzie młodo zaczęli umierać. W niedzielę po gazetę chodziło się z wózekkiem, tyle tego było. W naszej dzielnicy również blisko domu była biblioteka publiczna. Bezpłatna, bardzo dobra i tytułowo bardzo bogata. Z pasją korzystałem z niej. Kupę ciekawych rzeczy zdążyłem przeczytać za te dwa lata. Kiedy jeździłem do pracy tylko subwayem, nauczyłem się czytać na stojąco. Takich jak ja “wariatów” było dużo więcej z tym, że to nie oni ode mnie tylko ja od nich “zaraziłem” się tą “chorobą”. Posądzanie Amerykanów, że czytają tylko “komiksy” jest niesłuszne i niemądre. Często odwiedzałem księgarnie – zawsze było pełno ludzi. Ciekawy system zaobserwowałem w amerykańskich bibliotekach wypożyczających książki na zewnątrz. Niektórzy czytelnicy przetrzymywali książki za długo i później po prostu wstydziło się zwrócić i dlatego w ogóle nie zwracali. Kierownictwa bibliotek wpadły na pomysł. U wejścia zainstalowano coś na podobieństwo otworu na listy, tylko o zwiększonych książkowych wymiarach. “Spóźnialscy” mogli podchodzić i przez nikogo niezauważeni, wrzucać przeterminowane książki. Po upływie pewnego czasu mogli przyjść i poprosić o nową książkę. Żadnych kar, wymówek nikt mu nie robił. Całkiem logiczny i wcale mądry sposób.

Pokój na poddaszu dzieliłem z Markiem, siostrzeńcem. Koniecznie chciano mi dać oddzielny pokój, jeden z tych przeznaczonych do wynajęcia. Do tej udzielanej mi gościny, w sposób szczodry i bezinteresowny, bez jednego grosza, za cały okres mojego pobytu miałem ich jeszcze narazić na realne straty? W sposób absolutny i kategoriyczny odmówiłem. Moja siostra, Henia, jak zawsze przedtem, o czym już kilka razy wspominałem, była nieoceniona. Jej codzienna troska i dbałość pomogły mi przeżyć ten niełatwy dla mnie okres.

W domu był duży, piękny pies (rasy Locky czy Lessy? nie znam się na tym). Takie psy występują w filmach. Wszyscy domownicy za nim przepadali. Ja to zawsze miałem awersję do psów; jak się kiedyś przed wojną mówiło: czego się Żyd najbardziej boi? Za woda i za pies. Czasem bywały kłopoty z wyprowadzaniem psa. W sobotę i niedzielę ja to robiłem woluntarnie. Pewnej soboty miałem z tego powodu poważny kłopot. Pies się zatrzymał koło jednego z osobniaków i zaczął załatwiać swoją potrzebę. Nagle wyskoczył właściciel domu, zaczął coś krzyczeć czego nie rozumiałem (niby co było do rozumienia? Wszystko było przecież jasne), wrócił z fuzją myśliwską i zaczął ją ładować. Z wielkim trudem udało mi się psa odciągnąć i uciec. Tylko kilka chwil brakowało i mogło być za późno. W tym względzie Amerykanie nie znają się na żartach. W domu się ze mnie śmiali, a mnie wcale nie było do śmiechu. Kontynuowałem wyprowadzanie psa w moich dniach, ale wspomniany dom i nawet cała tę ulicę skrupulatnie omijałem. W tym czasie zrobiłem amerykańskie prawo jazdy i to tylko dzięki szwagrowi.

Pewnego dnia pocztą przysłano mi tak upragnioną Green Card. Od razu po tym zacząłem robić intensywne przygotowania do wyjazdu. Przede wszystkim należało załatwić wszystkie niezbędne papiery dla sprowadzenia rodziny. Mnie wydano tzw. Reentering Permit,

dokument zastępujący normalny paszport. W pracy poprosiłem o dłuższy (właściwie bezterminowy) urlop. Mój boss zapewnił mnie, że pracę u nich zawsze będę miał zapewnioną. Na wszelki wypadek poprosiłem o pismo potwierdzające moją pracę i u nich i w jakim charakterze. Powiedziano mi, że u nich w Ameryce to nie jest przyjęte i że jeżeli ktoś chce zasięgnąć informację o mnie to powinien do nich zadzwonić i telefonicznie ją otrzyrna. Jeżeli o mnie chodzi, to mój boss zrobi wyjątek i takie pismo mi przygotuje. I rzeczywiście, dał mi pismo – rekomendację w którym m.in. zaznaczył, że “his performance was very good and his behavior was excellent”. W późniejszym okresie, już w Izraelu, to pismo bardzo mi pomogło w urządzeniu się na pracę.

Dla opuszczenia Stanów Zjednoczonych potrzebny jest dokument podróży stwierdzający, że nie pozostawiam za sobą żadnych zaległości podatkowych. W urzędzie podatkowym przedstawiłem odcinki tygodniowych czeków; jedyne pytanie jakie mi zadano czy oprócz tego nigdzie indziej nie pracowałem odpłatnie; odpowiedziałem, że nie i uwierzono mi na słowo. Tego rodzaju poświadczenie w moim przypadku było nieodzowne dla wykupienia biletu podróży. Powyższe wcale nie oznaczają, że amerykańskie władze podatkowe są aż tak naiwne i każdemu wierzą na słowo. O nie ! W Ameryce oszukanie urzędu podatkowego jest niemalże równoznaczne z przestępstwem kryminalnym jak na przykład zabicie człowieka. Może i jest w tym wiele przesady, ale tak na ogół rozumieją ci prości zjadacze chleba, którym ściągają się podatek wcale ich nie pytając o zgodę. Co innego różnego kalibru rekinów finansowe. Ci na pewno oszukują, ale za ich plecami stoi cała plejada wysoko płatnych, wybitnych prawników i specjalistów od “uników” i oszustw podatkowych. Ten prosty ludek w Ameryce wierzy, że jeżeli kogoś złapią na machinacjach podatkowych to go zniszczą finansowo i potem wsadzą do kryminału na długie lata. Tam się szuka przede wszystkim te grube ryby. Tym małym rybkom na ogół się wierzy na słowo. Zupełnie odwrotnie aniżeli w Izraelu. W Izraelu tym “małym” na słowo się nie wierzy. To ci “mali” muszą udowodnić urzędnikowi siedzącemu na przeciwko za biurkiem, że mówi prawdę. Ten urzędnik jest tym panem i władcą w mocy którego jest uwierzyć albo nie. W Izraelu jeszcze nikt z “rekinów” finansowych w kryminale nie zgnął za oszukiwanie państwa. Nie wiem jak ci panowie rozliczają się z podatków. Ale powszechnie wiadomo, że jeżeli ich sadzą, to za kradzieże publicznych pieniędzy i za oszukiwanie swoich łatwowiernych współników. Ja przynajmniej nie słyszałem o takich, siedzących za oszustwa podatkowe.

Przez dwa lata ciężkiej pracy i napięcia nie miałem ani dnia urlopu. Po porozumieniu się z Giną postanowiliśmy, że zamiast polecieć samolotem, popłynę statkiem i to za te same pieniądze. Prawie 20 dni pofrąży morskiej, luksusowym flagowym statkiem Greckich Linii Oceanicznych – “Queen Anna Maria” miało mi zrekompensować ten trudny okres. Ta podróż tym się różniła od podróży 1964-go roku, że nie byłem bezdomnym pasażerem bez adresu. Na drugim końcu tej podróży czekał na mnie dom, moja droga żona, jeszcze bardziej droższa za te lata rozłąki, Jerzy który za te lata przekształcił się Jorama i Ludmiła która po nowemu była Liat.

Wiele było zwiedzania po drodze. Nasz statek zatrzymywał się w każdym większym porcie: Boston, Wyspy Azorskie, Lizbona, Malaga, Neapol, Palermo, Valetta, Pireus, Limasol i w końcu Haifa. W haifskim porcie oczekiwała mnie cała rodzina. Radość nieopisana. Nareszcie razem. Pierwsze kilka dni wizyty przyjaciół i znajomych. Po tym pojechaliśmy do Berszewy. O przyszłych planach na razie nie było mowy. Byliśmy całkowicie zajęci teraźniejszością. Po dziesięć razy musiałem opowiadać jak było. Byli tacy co próbowali nam dawać rady, nie proszeni. Każdy miał swoją rację. Decydować mieliśmy my i tylko my. Ja widziałem z czym się spotkam, moja żona wiedziała z czym przyjechałem.

W międzyczasie, kiedy byłem jeszcze w Ameryce, zmarł Józek, brat Giny. Nielatwe miał życie i niemniej trudną śmierć. Z opowiadań tych którzy wtedy jeszcze byli tam wynikało, że zdawał sobie sprawę ku czemu to idzie. Dwoje dzieci – bez matki i ojca – zostało samych w Lublinie. Jeszcze będąc tam, próbowaliśmy z siostrą zorganizować jakąś pomoc. Józek

pochowany został w Warszawie, na żydowskim cmentarzu, obok swojej przedtem zmarłej żony, Heli.

Rzeczywistością m.in. rządzą zasady, że co ma wisieć nie utonie i że co się odwlecze to nie uciecze. Za jakiś czas Jerzyk miał pójść do wojska, co w dużej mierze miało zaważyć na naszych przyszłych planach, jakie by one nie były. W międzyczasie oboje naszych dzieci zdążyło się “zarazić” bakcylem patriotyzmu. W pierwszych, początkowych rozmowach żadne z nich nawet słuchać nie chciało o jakimkolwiek wyjeździe. Z Ludką jeszcze wtedy może i nie byłoby problemu. Problemem był Jerzyk. Jeżeli o Ginę chodzi, to ja dobrze wiedziałem czego ona nie chce. Nie chciała się rozstawać ze swoją siostrą i jej rodziną. Przy tym wszystkim ona dobrze wiedziała co ja bym chciał. I jak tu pogodzić jedno z drugim co z góry jest wiadome, że nie jest do pogodzenia ? Papiery które przywiozłem ze sobą miały dwuletnią ważność, to znaczy, że co rok, w sumie dwa lata mogłem przedłużać w Atheńskiej (Grecja) filii amerykańskiego biura imigracyjnego. Jak na razie zdecydowaliśmy się nie decydować (w polityce istnieje taka formułka). Powiedzieliśmy sobie, że mamy dwa lata czasu, a później się zobaczy. Może jednak coś się zmieni ? (co właściwie ? tego żeśmy my sami nie potrafili określić). Jeżeli tak sprawa stanęła to znaczy, że na razie trzeba zacząć pracować. Pod tym względem trudności nie miałem. Te dwa lata w Ameryce, a szczególnie firma Lummus dawała mi dobry start. Nie pytano mnie jaką tam miałem funkcję, a była ona może i niewiele znacząca; ważna była sama nazwa – Lummus – do której trafiłem tylko przez przypadek. W moim życiu bywały przypadki i to nieraz o znaczeniu losowym. Lummus był dobrze znany w tutejszych kołach nafiarskich i nie tylko tutejszych. Lummus miał swoje filie we wszystkich większych stolicach Europy i obu Amerykach. Że sobie jednak trochę tego amerykańskiego stylu pracy przyswoiłem, to fakt. Sam po sobie mogłem stwierdzić, że mi ten amerykański styl i podejście do problemów technicznych bardziej odpowiadał aniżeli ten mój poprzedni wschodnio-europejski i sowiecki i późniejszy izraelski. Trochę się tego amerykanizmu napatrzyłem i byłem pełen podziwu dla ich sprawności organizacyjnej i efektywności. Dopiero tam sobie uzmysłowiłem, że czas to pieniądz (time is money) nie jest czczą formułką i frazesem. Trzeba umieć patrzeć z “wielka” a nie z “mała”. Amerykanie, w moim pojęciu, nie są może wielkimi politykami i wojskowymi, ale za to są niedoścignionymi organizatorami i byznesami w sferze ekonomiki. Szczęściem tego świata jest, że Sowietci nie zdołali zaprowadzić socjalizmu w Ameryce. Bo co by wtedy nie było ? Wszystkiego by nie było; tak jak u nich w Sowietach i we wszystkich krajach satelickich.

Trafiłem do biura projektów o nazwie “Life”. To wcale nie był ten “life” ze znanego amerykańskiego tygodnika o tej samej nazwie. Ten skrót tutejszej firmy pochodził ze skrótu dwóch nazwisk – Li od Litwin, dużej amerykańskiej firmy projektującej i budującej kompletne zakłady chemiczne w różnych punktach ziemskiego globu, w tym również i w Izraelu. Fe – od Frenkiel, właściciela izraelskiej filii firmy Litwin. W zestawieniu daje to “Life”. Z czasem doszedłem do przekonania, że ta spółka była dość dziwną - Litwin był współnikiem do Frenkla, ale Frenkiel nie był współnikiem do Litwina. Możliwe, że się myliłem, bo przecież nie mogłem wiedzieć co się dzieje w kularach. Izrael, w doróżnieniu od innych krajów, jest krajem gdzie plotka, słuch nieraz mają prawie, że wiarygodne źródła oparte na przeciekach z tych właśnie kularów. W tym kraju jest prawie, że niemożliwe utrzymać coś w tajemnicy. Świadczy o tym następująca anegdota: Obcy wywiad postanowił uplasować swojego agenta w Tel-Avivie. Zrzucono go na przedmieściu T.A., tam w krzakach był ukryty rower którym agent miał się dostać do śródmieścia na ulicę Herzel 5 mieszkanie 8 i tam, od osiadłego agenta, Rabinowicza otrzyma dalsze instrukcje. Nowy agent szczęśliwie wylądował, spalił spadochron, znalazł rower, dojechał do ulicy Herzel 5 i wtedy ujawniła się poważna przeszkoda – agent zapomniał numer mieszkania 2 czy 8. W spisie lokatorów było dwóch Rabinowiczów – jeden pod 2-ką a drugi pod 8-ką. Co tu robić ? Zaczął medytować - jeżeli to agent, to przecież nie może mieszkać pod 8-ką bo to wysoko i w razie gdy przyjdzie uciekać to przy skoku można sobie, Boże broń, nogę zwichnąć albo coś gorszego. Co innego pod 2-ką, niski partet i żaden problem. Zadzwoił więc ten agent – nowicjusz pod 2-kę, otworzyła mu dama w balzakowym wieku i na pytanie czy tu

mieszka Rabinowicz, baczenie go zlustrowała – od słów do głów i odparła: ten szpieg Rabinowicz mieszka od 8-ką.

Pod względem obsady personalnej “Life” zatrudniał inżynierów z różnych krajów: U.S.A., Wielkiej Brytanii, Południowej Afryki, Argentyny itp. Językiem roboczym był angielski. Wszystko co z biura wychodziło było w tym właśnie języku. Hebrajski był raczej językiem drugorzędny. Dla mnie wtedy to już nie był problem.

Właściciel i boss był absolwentem osławionego M.I.T. (Masachusetts Institute of Technology), doktor (Ph.D.) chemii. Ciekawy facet był ten nasz boss. Niezwykle zdolny, pracowity (workaholic). Swoją osobą dawał przykład jak należy pracować i rozwiązywać problemy. Do Izraela przybył z dalekiej Wenezueli. Młodość miał dosyć bujną - skrajna lewica z czego dosyć szybko się wyleczył. Potem zapalony syjonista. Ojciec kiedyś pracował w dyplomacji. Był konsulem we Wiedniu przed Auschlusem a potem ambasadorem Republiki Wenezueli w Pradze Czeskiej. Był vardo pomocny w wydawaniu Żydom wiz wenezuelskich w tym czasie kiedy Wenezuela była niedostępna (offlimits) dla Żydów, Cyganów i Chińczyków (niby dlaczego dla Cyganów i Chińczyków ?). Zmarł w młodym wieku – 50 lat na serce.

HDF – takie nasz boss używał inicjały: H-od Heinrich, D-od David, F-od Frenkiel, prowadził prosperujące biuro projektowe w Caracas, stolicy Wenezueli. Do Izraela ściągnął go były minister skarbu, Pinchas Sapir. Początkowo budował ważny obiekt w izraelskiej petrochemii. Właśnie stamtąd wziął początek późniejszy “Life”. Wokół swojej osoby skupił grupę młodych inżynierów dla których był nie tylko nauczycielem, ale też i “alfą i omegą” i to nie tylko w sprawach pracy ale również i w życiu osobistym każdego z nich. Podobno łączyły ich osobiste przyjaźnie. Jak to się później wszystko rozpadło, to już inna sprawa. Młodzi inżynierowie do niego lgnęli jakkolwiek wcale więcej nie płacił jak gdzie indziej, ale za to dawał duże możliwości nauczania się czegoś więcej aniżeli gdzie indziej.

HDF rzeczywiście dużo, bardzo dużo wymagał co było w pełni zrozumiałe; każdy boss żąda o wiele więcej aniżeli chciałby zapłacić, ale nasz boss oprócz tego miał jeszcze jedno dodatkowe żądanie - chciał żeby go “kochać”. Byli tacy co na to szli – nie tyle może z “miłości” ile z rozsądku i wyrachowania, bo wiedzieli, że boss to lubi. Ja w każdym razie do nich nie należałem. Przypuszczam, że on o tym musiał wiedzieć. Podobno ktoś kiedyś przy jakiejś tam okazji musiał mu coś o tym wspomnieć. Jakimś tam szóstym zmysłem musiałem to wyczuć. W każdym razie z tego powodu żadnej z jego strony niechęci nie odczuwałem. Może być, że nawet mu się to “spodobało” ? Kto tam może wiedzieć ? Czasem tego rodzaju “sprzeciw” bossom tego typu co HDF może przypaść do gustu, w przeciwieństwie do budowanej wokół niego aureoli serwilizmu i pochlebstwa. To były wyłącznie moje supozycje. Potwierdzenie czegoś takiego dopatrzyłem się w następującym wydarzeniu. HDF wziął się za pisanie “sagi” rodzinnej. Skończył pierwszą część, zawezwał mnie i poprosił o moją opinię. Początkowo próbowałem oponować, że niby dlaczego ja ? Ma przecież wokół siebie kilku najbliższych “przyjaciół”, im bardziej przystoi wyrażać opinię o jego głęboko intymnych sprawach rodzinnych, aniżeli mnie. On wiedział, że poza pracą zawodową dużo czytam i interesuję się zagadnieniami natury ogólnej i politycznej i że moje opinie mogą być dosyć ostre. O, właśnie dlatego zwracam się do ciebie a nie do nich, powiedział. Zacząłem czytać. Uwagi i notatki robiłem po polsku, tylko dla siebie, ażeby łatwiej mi było później referować. Ani na chwilę nie przypuszczałem, że zechce ażeby mu je dał. Znał wiele języków, ale polskiego przecież nie znał.

Po pewnym czasie zostałem wezwany. Przedstawiłem mu moją opinię, w wielu wypadkach różniącą się od tej jakiej się być może spodziewał usłyszeć. Słuchał w milczeniu. Nie próbował ze mną dyskutować. Kiedy skończyłem, poprosił o moje notatki. Dałem mu je, zaznaczając, że są po polsku. Nie szkodzi, powiedział, ja sobie poradzę. Jak raz wtedy miał kolejny romans z jedną ze swoich sekretarek, bardzo przystojną blondynką i do tego Polką. Wstał, podał mi rękę i podziękował. Wcale nie prosił ażeby tego nie rozgłaszać. Byłem więc “wolny” i nie omieszkałem o tej całej historii opowiedzieć niektórym z jego przybliżonych.

Pracę miałem ciekawą. Robiłem obliczenia wytrzymałościowe, przygotowywałem dane do rozpracowań konstrukcyjnych, sprawdzałem obliczenia innych, byłem głównym projektantem dla niektórych obiektów, robiłem analizy specyficznych zagadnień, byłem kontrolerem jakości wykonawców aparatury, miałem nadzór autorski nad robotami w terenie, do moich obowiązków należało również opracowywanie danych kosztowych (cost estimations), opiniowanie ofert krajowych i zagranicznych dostawców aparatury itp. Moja praca dawała mi pełną satysfakcję zawodową. Miałem pełne podstawy ku temu ażeby sądzić, że również i HDF był ze mnie zadowolony. Świadczyły o tym okresowo przyznawane bonusy bądź to w formie pieniężnej bądź w postaci procentowych udziałów w akcjach firmy. Od czasu do czasu wyjeżdżałem za granicę - Niemcy, Szwajcaria, Hiszpania – dla sprawdzenia postępu robót i kontroli jakości. Wiele się nauczyłem od HDF, za co zawsze byłem i pozostałem mu wdzięczny.

HDF miał słabość do pięknych kobiet. Większość sekretarek przechodziła przez jego ręce (?). Pomimo to, twierdził, że to tylko przemijające epizody, po których zawsze wracał na rodzinne łono. Mówił, że rodzina to świętość. Aż zdarzyła się jedna taka która potrafiła tę świętość “odświęcić”, ale to już późniejsza historia.

Jerzyk odbywał służbę wojskową w jednostce spadochronowej. Ciężka to była służba – nie tylko dla niego, ale również i dla nas. On sam to sobie nawet chwalił.

Zdrowie Giny ulegało pogorszeniu, i to do tego stopnia, że konieczna była jak najszybsza ingerencja chirurgiczna. Pierwsza operacja miała miejsce w 73-im roku. Chodziło o zlikwidowanie przewężenia zastawki sercowej – tzw. Stenoza Mitralis. Operacja trwała kilka dobrych godzin. Otwarto klatkę piersiową od strony pleców umożliwiając dojście do serca, zrobiono nacięcia krzyżowe, po 5 cm w każdą stronę, i operator swoim wskazującym palcem poszerzył otwór zastawki. Operacja była skończona, szwy nałożone. Zaczęto ją wyprowadzać z sali operacyjnej, gdy nagle okazało się że serce stanęło - przestało pracować. Natychmiast powrócono na salę operacyjną, na nowo otwarto klatkę piersiową i przy pomocy bardzo intensywnych zabiegów udało się przywrócić pracę serca. (Wszystko to wyczytałem w opisie operacji). Szczęście, że to wszystko zdarzyło się na wyjściu z sali operacyjnej a nie poza nią, bo wtedy byłoby już za późno.

Rekonwalescencja trwała chyba ze trzy tygodnie. Powoli wszystko zaczynało powracać do normalnego stanu, z tym, że dotychczasowy tryb życia należało przestawić na “zwolnione obroty”. Według opinii lekarzy, tego rodzaju operacja miała starczyć na 5, 10 lat. A potem co ? Potem nowa operacja, o wiele trudniejsza i bardziej skomplikowana.

W październiku 73-go roku wybuchła wojna. Tym razem Izrael dał się zaskoczyć przez przeważające i dobrze przygotowane wojska egipskie i syryjskie. Jordania w tej wojnie nie uczestniczyła, nauczona niefortunnym doświadczeniem wojny 6-iego dniowej w 67-ym roku. Wtedy Jordańczycy dali się zwieść złudnym obietnicom Nassera, że ta wojna będzie krótka, z dużą wygraną i raz na zawsze skończy się z tym “obcym” tworem w morzu arabskim, za jaki uważali Izrael. W wojnie 73-go roku Jerzyk uczestniczył jako kierowca czołgu. Przez jedenaście dni nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości. Na dwunasty dzień zobaczyliśmy go w telewizji w egipskim mieście Suez. Ciężką miał służbę w tej wojnie. Dwukrotnie zmieniał podbity czołg. Mieliśmy szczęście. Do domu wrócił cały i zdrowy. Wielu z tej wojny nie wróciło; nieporównanie więcej aniżeli we wszystkich poprzednich wojnach. Ta wojna pozostawiła za sobą traumę na długie lata. To była pierwsza wojna w której Izrael dał się zaskoczyć, za co drogo mu przyszło zapłacić. Podstawową przyczyną była błędna ocena czynników wywiadowczych. Tym razem Arabowie okazali się sprytniejsi i bardziej dyskretni. Dyskrecja dotąd była jedną z najślabszych cech arabskiej mentalności. Fakt, że nic nie przeciekło spoza szczelnie izolowanych drzwi sztabów generalnych arabskich armii. Tym razem u Arabów wszystko zagrało. Wały wschodniego brzegu (izraelskiego) Kanału Suezkiego zostały “wymyte” ogromnej mocy pompami amerykańskiej produkcji firmy Allis Chalmers (tej samej, która dostarczyła swego czasu wiele urządzeń dla projektu “Manhattan” w Los Angeles. Egipcjanie wylądowali na wschodnim brzegu kanału. Tzw “Linia Bar Lewa” nie zdołała ich zatrzymać. Egipska zapora rakietowa na zachodnim

(egipskim) brzegu kanału okazała się niespodziewanie efektywną. Izrael stracił bardzo dużą ilość samolotów już w pierwszym dniu wojny. Na Wyżynach Golanu syryjskie czołgi lawiną ruszyły w kierunku jeziora Kineret, zagrażając nadbrzeżnej Tyberii z kierunkiem na Haifę. Syryjczycy sami sobie wierzyli, że im to stosunkowo tak łatwo pójdzie. Przypuszczali, że jest to jeden z izraelskich trików ażeby ich wciągnąć jak najdalej w głąb izraelskiego terytorium, odciąć ich i po tym rozgromić.

A to wcale tak nie było. To nie był żaden trik, to było po prostu nieprzygotowanie Izraelczyków. I tylko syryjskiej głupocie należy przypisać, że nagle ich czołgi się zatrzymały i zaczęły zawracać. Po izraelskiej stronie ujawniły się wszystkie niedostatki, bałagan, ignorancja i dezorganizacja. I gdyby nie Kissinger i jego boss, Nixon, kto wie czym by się to było skończyło. Błyskawicznie zorganizowany most powietrzny z dostawami wojskowymi w połączeniu z niewiarą arabskich przywódców, że mogą coś wskórać, pozwoliły na przetasowanie izraelskich sił, na zaabsorbowanie pierwszego, bolesnego ciosu i przejście do kontrofensywy. Straszłą ludzką cenę przyszło zapłacić za ten pierwszy okres sukcesów arabskich. Dotąd Arabowie byli bici. I nagle się okazało, że arabskie armie 73-go roku to nie to samo co armie arabskie 67-go roku.

W ostatecznym rezultacie oni tej wojny nie mogli wygrać przede wszystkim dlatego, że Izrael tej wojny jak i wszystkie poprzednie wojny nie mógł przegrać. Rzecz w tym, że Arabowie mogli wiele wojen przegrać i nadal istnieć bo wiele ich mieli w “zapasie”, a Izrael ma do przegrania tylko jedną i jedyną wojnę, bo znajduje się na grani i bez “zapasów” i po tym przestałby istnieć.

Politycznie, Arabowie wojnę wygrali. W tym względzie nie ma się czego ludzić. Po tej wojnie zaczęło się szukanie winnych. I znowu, tym rzeczywistym winowajcom włos z głowy nie spadł. A może i dlatego, że ci najbardziej winni przeważnie byli tysi i trudno ażeby włosy z głowy spadały.

“Life” budował dwie fabryki w Wenezueli. Zasadniczą dokumentację techniczną opracowywało nasze haifskie biuro. Dla uzupełnień bezpośrednio na miejscu utworzono filię biura w Caracas. Latem 75-go roku wezwał mnie HDF i powiedział, że jest konieczne ażebym ja pojechał na kilka miesięcy do Caracas ażeby tam, na miejscu wszystko dopilnować i w sposób operatywny załatwiać wszystkie sprawy związane z budową. Powiedziałem, że po przebytej operacji nie mogę żony zostawić samej. Również i na to miał odpowiedź: weź ją ze sobą, zdecydował i z miejsca wydał polecenie, że wszystkie koszty jej podróży i pobytu ponosić będzie biuro.

Wylecieliśmy wprawdzie do Madrytu i Barcelony. W barcelońskim biurze hiszpańskiej firmy “Foret”, naszego partnera do tzw. Joint Venture dla budowy wspomnianych dwóch fabryk w Wenezueli, mieliśmy przeprowadzić cały szereg uzgodnień niezbędnych dla dalszego rozpracowania, ale już naszej caracaskiej filii. W Barcelonie byliśmy około 2-tygodni. Mieszkaliśmy w bardzo dobrym hotelu, “Regina” w centrum miasta. Barcelona jest pięknym miastem, w moim pojęciu jednym z najładniejszych miast w Europie.

Rano wychodziłem do pracy, a Gina robiła sobie spacer w pobliżu hotelu. Pomimo nieznamości hiszpańskiego, jakoś sobie radziła. Ja przy pracy posługiwałem się angielskim. Wieczorami zawsze gdzieś wychodziliśmy. Z nami był zastępca HDF – Eli M. z którym byliśmy zaprzyjaźnieni. On znał Barcelonę z poprzednich pobytów. Kiedyś wieczorem zaprowadził nas do ekskluzywnej restauracji – Pericolo. Restaurację tę odwiedzało wielu prominentnych gości z zagranicy w tym niektóre hollywoodzkie gwiazdy, o czym świadczyła jedna ze ścian zaklejona fotografiami z autografami. Z nami był też nasz pracownik, Amerykanin, Henry G., jeden z najwybitniejszych naszych specjalistów. Pewnej nocy, konną dorożką wracaliśmy do hotelu. Woźnica drzemał na koźle, a koń sam się zatrzymywał na czerwonych światłach i ruszał dopiero po zmianie na zielone. Mądre i nie zarażone daltonizmem musiały być te barcelońskie konie. Bywało, że do późnej nocy chodziliśmy po ulicy Rambles zamkniętej dla wszelkiego ruchu kołowego. Była to ulica księgarń z książkami z całego świata. Można tam było znaleźć Marksa, Lenina, Stalina i Trockiego obok hitlerowskiego Mein Kampf, Mussoliniego itp., i to wszystko

za czasów kiedy rządził dyktator Francisko Franco. Czegoś takiego nigdy nie było w Sowietach nawet w późniejszym postalinowskim okresie i za rządów rzekomego liberała (?) Chruszczowa. Widocznie Franco się tego nie bał i dobrze trzymał ten swój naród za twarz. Fakt, że to właśnie Franco nauczył swoich Hiszpanów pracować i to nieźle, w przeciwieństwie do “swoich” sowieckich kolegów którzy swój naród oduczyli rzetelnej pracy. Hiszpanie pracowali rzetelnie i w takiże sposób im płacono. Sowietcy ludzie udawali, że pracują, ale ich rząd ich przechytrzył, bo udawał, że im płaci. W sobotę i w niedzielę zwiedzaliśmy miasto, a zwiedzać było co.

W drodze do miasta Huelwa gdzie była fabryka chemiczna na wzór której budowaliśmy naszą w Wenezueli, zatrzymaliśmy się w Sewilii, w hotelu Lutz, superluksusowym. Miasto bardzo ciekawe, zabytkowe. W Huelwa zatrzymaliśmy się dwa dni i wróciliśmy do Madrytu i stamtąd wylecieliśmy do Wenezueli. Samolot należał do wenezuelskiej linii “Viocas”, nie do porównania z jakąkolwiek linią europejską. Jedzenie pod psym, brudno, ubikacje w połowie drogi zatkałe. Jakoś jednak dolecieliśmy i to najważniejsze. Po załatwieniu wszystkich formalności paszportowych i wizowych, bardziej uciążliwych aniżeli gdziekolwiek indziej, pojechaliśmy do Caracas, jakieś 30 kilometrów z lotniska. Zatrzymaliśmy się w hotelu “Crillon”. Bardzo dobry hotel.

W Caracas mieliśmy drohobyckich znajomych, wenezuelskich starożytników, ludzi bogatych, świetnie urządzonych. Zadzwoniliśmy i oni od razu do nas przyjechali i zabrali na piątkową kolację. Mieli obszerną willę w dzielnicy San Bernardino uważaną za jedną z lepszych, luksusowy samochód “Lincoln” i fabrykę gumy. Przyjęli nas bardzo serdecznie. Po kolacji wróciliśmy z powrotem do hotelu. Nazajutrz przyjechał po nas kierownik naszego caracaskiego filiału, dobry zbajomy jeszcze z Haify. Pojechałem z nim do biura i zacząłem zaznajamiać się ze stanem spraw służbowych.

W hotelu byliśmy wszystkiego tylko kilka dni. Wynajęto nam normalne mieszkanie – dwa pokoje z kuchnią, łazienką i wszelkimi innymi wygodami. Każdy budynek w Caracas ma swoją nazwę. Ten nasz nazywał się “La Hacienda”. Na dole, w tymże budynku był całkiem niezły supermarket, tak że z zakupami nie było problemu. Brało się do wózka co było potrzebne, kasjerka robiła rachunek wskazując końcową sumę. Rozróżnić banknoty było nietrudno, bo od kiedy Arabowie (?) wynaleźli cyfry od 1 do 10, cały świat się nimi posługiwał. W biurze od razu dano mi zaliczkę w miejscowej walucie (boliwary). Zakupy robiliśmy wieczorami po przyjściu z pracy. Później Gina nabrała odwagi i sama robiła zakupy, nie czekając na mnie.

Caracas jest pięknie położony. Podobnie do Neapolu i Haify. Śródmieście w dolinie, mieszkania na zboczach otaczających wzgórz. W odróżnieniu od Haify, gdzie zbocza Carmelu zamieszkują na ogół ludzie bardziej zamożni, zaś ci mniej zamożni, nadmorski płaskowyż, w Caracas jest na odwrót, bogaci mieszkają w dolinie w pięknych willach lub edycjach (luksusowe budynki mieszkalne), zaś biedota gnieździ się w slumsach na zboczach otaczających gór. Wenezuela jest krajem kontrastów – ludzi bardzo bogatych i ludzi bardzo biednych. Klasa średnia to na ogół ludzie zamożni. Bogaci i zamożni są warstwą dominującą w każdej dziedzinie życia – publicznego, gospodarczego, kulturalnego i towarzyskiego pomimo, że stanowią liczebną mniejszość. Większość to ludzie biedni. Pod względem “rasowym” albo tzw. “białych” i “kolorowych”, to do “białych” zaliczają się wychodźcy wywodzący się z hiszpańskich przodków. Większość i to bardzo dużą stanowią “kolorowi” czyli Metysi wywodzący się z tubylczych plemion indyjskich i niewolników murzyńskich. Nienawiści rasowej jako takiej raczej nie ma. Co jest, to chyba zawiść o podłożu ekonomicznym. Od kiedy świat światem, biedni zawsze zazdrościli bogatym pomimo, że religia zakazywała im poddawać się tego rodzaju uczuciom, a religię zawsze tworzyli biali. Ogólnie rzecz biorąc, Wenezuelę określa się jako kraj bogaty o biednej ludności. Coś zupełnie odwrotnego od Izraela, który jest biednym krajem o bogatej ludności. Żydów w Wenezueli było około 20-u tysięcy (Wenezuela liczyła wtedy ok. 12 mln. ludności. (Prawie wszyscy zaliczani byli do warstwy bogatej. Kiedyś spytałem jednego znajomego czy są w tym kraju Żydzi pracujący jako najemni, u kogoś. Oczywiście, że są



- odpowiedział. A ilu ich jest ? - pytałem dalej. Czy ja wiem ? odpowiedział, chyba ze czterech albo pięciu. Większość Żydów koncentruje się w stolicy, Caracas. Kilku może zabłąkało się w Walencji albo Marakaibo. Skąd się wzięli Żydzi w Wenezueli ? Większość to tacy którym udało się cudem uniknąć losu 6-u milionów Żydów europejskich. Nim przybyli do Wenezueli błąkali się po różnych zakątkach Europy. Czym się Żydzi zajmowali w Wenezueli ? Większość nowoprzybyłych rzuciło się do tzw. "szmacianego biznesu". Do czasu ich przybycia bieliznę i konfekcję importowano, głównie z U.S.A. Żydowskie głowy doszły do wniosku, że lepiej będzie zakupić maszyny do szycia i sprowadzać tylko tekstylia i szyc koszule i suknie na miejscu, przyuczając tubylców do tego rodzaju pracy. No i poszło. Miejscowym ludziom dano źródło zarobku, sobie zaś niezły dochód. Państwo było zadowolone, a Żydzi się bogacili. Nowe pokolenie, już urodzone w Wenezueli nie poszło w ślady ojców, a ojcowie ich wcale do tego nie namawiali. Żydzi zawsze marzyli o wyjściu swoich dzieci z gettovej ekonomiki. Nie żałowali więc środków na kształcenie swich synów w najlepszych amerykańskich uniwersytetach. Wyrastało nowe pokolenie wolnych zawodów: inżynierów, lekarzy, prawników, ekonomistów itp.

Nasi wenezuelscy przyjaciele z pieniędzy zarobionych w szmacianym biznesie założyli fabrykę taśm gumowych według amerykańskiej licencji. Ich syn jednak, wykształcony w Ameryce coraz bardziej zastępował ojca i w miejsce starych, ojcowskich metod, wprowadzał nowe, amerykańskie.

Ja często wyjeżdżałem w teren inspekcjonując jakość aparatury wykonywanej w różnych miejscowościach Wenezueli. Dużo też pracowałem w biurze przy uzupełnianiu dokumentacji technicznej przysyłanej z Haify. Moja praca wymagała częstych wyjazdów na teren budowy. Te nasze dwie fabryki budowano na wybrzeżu Morza Karaibskiego w miejscowości Moron. W tym czasie przyjęto mi do pomocy młodego inżyniera, wenezuelczyka. Przyszedł on z zupełnie innej branży (air condition) nie mającej nic wspólnego z inżynierią chemiczną. Ja miałem z niego zrobić nie tylko pomocnika na czas mojego pobytu w Caracas, ale też i inżyniera który mógłby mnie zastąpić kiedy mnie już tam nie będzie i on będzie zdany na własne siły i na swój rozum. Na podstawie mojej własnej pamięci (żadnych szkoleniowych materiałów ze sobą nie miałem) urządziłem mu 6-o tygodniowy kurs – codziennie dwie pierwsze ranne godziny. Chłopak inteligentny, z chłonnym umysłem i niezłą znajomością angielskiego. Ta nowa dla niego dziedzina - przypadła mu do gustu. Uczył się chętnie. Codziennie przed rozpoczęciem nowej lekcji "egzaminowałem" go z wczorajszego materiału. Myślałem, że przy nim trochę się "nałapię" hiszpańskiego. Skąd ? To właśnie on przy mnie chciał "doszlifować" swój angielski, a szczególnie terminologię używanej w naszej branży. Zabierałem go ze sobą do wykonawców naszej aparatury. Wtajemniczyłem go w niepisane tajniki naszego zawodu przyswojone latami praktyki. Uczyłem go co jest bardzo ważne i czego nie wolno w żadnym wypadku przepuścić, co jest mniej ważne i dane do skorygowania i co można tolerować i przepuścić. Przedewszystkim wpajałem w niego respekt do czyjejs paracy. Czy był mi chociaż wdzięczny za to co dla niego zrobiłem ? Trudno mi powiedzieć. Zresztą, żadnej wdzięczności od niego nie oczekiwałem. Po prostu spełniałem moje poczucie obowiązku, za co mi płacono. Co wiem, że po tym, po skończeniu misji naszego Haifskiego biura w Wenezueli i uruchomieniu obu fabryk, założył swoje własne, konkurencyjne biuro inżynieryjne.

W tym czasie kiedy byłem zajęty swoją pracą, Gina miała tzw. "good time". Miała duże wzięcie, była bardzo pożądana w miejscowym, kobiecym, polskojęzycznym towarzystwie. Bez przesady – wszyscy ją bardzo lubili. Ona zawsze była mistrzynią w zjednywaniu sobie ludzi. Wszyscy do niej Ignęli. Caracascy bogacze byli członkami ekskluzywnego klubu na brzegu morza, "Puerto Azul", jakieś 50 kilometrów od Caracas. Coś takiego bajecznego można było tylko w kinie oglądać. Znawcy mówili, że nawet Miami Beach na Florydzie nie mogło się z tym równać. Nasi caracascy przyjaciele byli członkami tego klubu. Mieli tam własnościowe weekendowe mieszkanie. Jako członkowie klubu mieli prawo wprowadzać swoich zagranicznych gości. Bardzo często zabierali nas ze sobą na weekendy. Oni zawsze za wszystko płacili, bo nas

nie było stać na różnego rodzaju ekstrawagancje. Cała przyjemność była po ich stronie, jak to oni sami twierdzili. Poza tym, my chcieliśmy możliwie jak najwięcej zaoszczędzić, dla naszych dzieci.

W czasie naszego pobytu w Wenezueli przypadła moja 50-a rocznica urodzin. Od firmy dostałem prezent urodzinowy w postaci tygodniowej wycieczki do prawdziwej, południowo-amerykańskiej dżungli, włączając w to pobyt w pensjonacie. Leciąco się tam dwoma samolotami - dużym odrzutowcem do miasta Liudad Bolívar i stamtąd małym śmigłowcem do Kanaimy, bo na miejscu nie było lotniska tylko nieduży pas startowy. Tamtejszy pensjonat prowadzili Niemcy – hitlerowcy, którzy tam się skryli po wojnie bo ich nikt tam nie próbował niepokoić. Z łatwością dawali się wciągnąć w rozmowę, szczególnie gdy ktoś mówił po niemiecku. Lubili się chwalić swoimi “bohaterskimi” wyczynami z czasów II-iej wojny, nie wiedząc, że mają przed sobą Żyda. Tamże spotkałem kilku byłych żołnierzy armii Własowa. Jeden z nich żył z miejscową inwalidką i miał z nią syna. Z nimi rozmawiałem po rosyjsku. Niedaleko stamtąd była zacofana wioska indiańska w której ludzie chodzili półnago. W tym okręgu można było też spotkać poszukiwaczy złota i diamentów. Cały ten okręg stanowił egzotyczną atrakcję. Indiańską łodzią urządzono nam wycieczkę po jednej z największych rzek Południowej Ameryki – Orinoko. Woda czysta, nie zakażona, o kolorze piwa; można ją było pić bez obawy. A propos – w Caracas wody z kranu pić nie wolno było. Preparowaną wodę przywożono w specjalnych butlach do domu. Wycieczka była cudowna; czegoś takiego się nie zapomina. Samolot, którym mieliśmy wracać z Liudad Biliwar do Caracas spadł w dżungli i nikt się nie uratował; to był właśnie ten ten samolot który leciał z Caracas do Liudad, ażeby nas zabrać. Później się okazało, że pilot miał podobno jakieś problemy rodzinne, wpadł w depresję i umyślnie spowodował katastrofę. Przez to nasz powrót opóźnił się o 24 godziny, powodując duży niepokój u naszych przyjaciół.

Jakieś 40 kilometrów od Caracas była miejscowość letniskowa, Schwartzwald, zamieszkała przez Niemców. Byliśmy tam i również tam spotkaliśmy Niemców - uczestników II-iej wojny. Tego rodzaju spotkania zawsze budziły przykre reminiscencje. Był tam też jeden artysta-szkulptor rodem z Gdańska. Z nim też uciałem sobie rozmówkę, po niemiecku i po polsku. Powiedziałem mu, że w czasie wojny również byłem żołnierzem i że po wojnie mieszkałem w Warszawie i dosyć często jeździłem do Gdańska. Kupiliśmy u niego kilka podarunków ceramicznych, które przetrwały do dziś.

Nasz przeszło 4-o miesięczny pobyt w Wenezueli zbliżał się ku końcowi. Nasi wenezuelscy przyjaciele urządzili nam pożegnalne przyjęcie. Gina dostała bardzo dużo ładnych prezentów. Ze strony bogatych znajomych były nawet propozycje pozostania tam na stałe. Gotowi byli nawet zainwestować pieniądze w budowę fabryki aparatury chemicznej w której uczestniczyłbym jako współnik. Mój udział miało być moje doświadczenie w tej dziedzinie, a nie pieniądze, bo takowych nie mieliśmy. Oczywiście nic z tego nie mogło wyjść. Moja żona nawet słyszeć o tym nie chciała. Ona chciała wrócić do domu, do dzieci, do swojej siostry i to jak najszybciej.

Od mojego haifskiego bossa otrzymałem zgodę na miesięczny urlop i spędzenie go w Stanach albo w Europie – stosownie do naszych życzeń. Bilety samolotowe mieliśmy otwarte, a i trasę mogliśmy sami ustalić - wszystko na koszt firmy.

W międzyczasie miało miejsce następujące wydarzenie. Szwajcarska firma, GESCO – General Superintendce Company, miało swoją filię w Caracas. Nasze caracaskie biuro utrzymywało kontakty służbowe z tą firmą w zakresie kontroli jakości importowanych urządzeń. Kierownikiem caracaskiej filii GESCO był niejaki G.W., Niemiec z pochodzenia. Po wojnie osiedlił się w Wenezueli, ożenił się z wdową, Żydówką z synkiem. Kiedy przyjechałem do Caracas, koniecznie chciał się ze mną spotkać. Mieliśmy ciekawą rozmowę na tematy związane z dostawami dla nas i jego w tym udział. Bardzo się interesował Izraelem. Wyrażał nawet chęć odwiedzenia naszego kraju. Później się okazało, że jest to były SS-man którego Amerykanie wyciągnęli z obozu jenieckiego i zwerbowali do pracy dla nich. Na czym polegała jego “praca”

można się tylko domyślać. Widocznie w nagrodę “za dobrą służbę” amerykańscy bossowie wyrobili mu wenezuelską wizę i załatwili pracę w GESCO. Czym się G.W. kierował żeniąc się z Żydówką i to jeszcze z synem – tylko on sam wiedział. Chyba nie z “miłości” do Żydów ? A może chodziło mu o dobry kamuflaż ? I to jest możliwe. Faktem pozostaje, że podobno był dobrym mężem, a syna swojej żony traktował jak własnego. Całą tę historię odkrył izraelski dziennikarz i opublikował w Izraelu w hebrajskojęzycznym tygodniku. Czym się ta cała historia zakończyła – nie wiem. Dziwne czasem bywały losy ludzi po II-ej wojnie. Że musiał to być szok dla żydowskiej społeczności w Caracas, to pewne.

Nastał dzień wyjazdu. W Wenezueli słoneczna pogoda, ciepło. W Nowym Jorku śnieg, mróz i lodowaty wiatr. Zajechaliśmy do mojej siostry. Kilka dni odpoczywaliśmy. Potem zaczęły się wizyty i rewizyty u znajomych i rodziny męża mojej siostry. W Nowym Jorku czekała nas bardzo przyjemna niespodzianka – nasz syn, Jerzyk, urządził sobie wakacje w Nowym Jorku. Dużo czasu spędzaliśmy z przyjacielem dzieciństwa i późniejszego, rosyjskiego okresu, Wilem. Przyjaźń ta trwa do dziś. Bardzo lubię tego człowieka. W tym czasie przeżywał on ciężki okres. Był w trakcie nostryfikacji swojego dyplomu lekarskiego. Kilkakrotnie był odrzucany i to wcale nie z powodu braków w dyscyplinach medycznych. W grę wchodziły względy konkurencyjne. Po prostu forum lekarskie rozpatrujące aplikacje nie-urodzonych Amerykanów przejawiało szczególną awersję do wschodnio europejskich dyplomów. Przez jakiś czas musiał pracować w poniżających warunkach w różnych klinikach stomatologicznych. Później, za którymś tam razem udało mu się – otrzymał pełne prawa lekarskie i mógł otworzyć swój własny gabinet, co też zrobił i to w krótkim czasie. Miał rodzinę złożoną z żony i trojgiem dorosłych dzieci – syna i dwóch córek, obie w wieku naszego Jerzyka. Z jedną z tych córek związał się płomienny romans i wiele nie brakowało ażeby nasz Jerzyczek tam został. Gina była wtedy pierwszy raz w Nowym Jorku. Zwiedzaliśmy bardzo dużo. Chciałem jej jak najwięcej pokazać. Ja to przecież to miasto poznałem dobrze w czasie mojego tam dwuletniego pobytu. Mieliśmy zaproszenie do Kanady od mojej byłej współpracownicy w haifskim biurze. Bardzo na to mieliśmy ochotę, ale musieliśmy zrezygnować z powodu błahych przyczyn rodzinnych. Chodziło o prestiż mojego szwagra. Później nie mogliśmy tego odżalować.

Kilka słów o tej współpracownicy. Przyjechała z Rumunii. Niedużego wzrostu, brunetka, z wyglądu Koreanka albo Vietnamka, inżynier – mechanik, bardzo zdolna, władająca angielskim, francuskim, niemieckim. Rozwiedziona, z wówczas nieletnim synem. Były mąż przyjechał oddzielnie. Długi czas pracowaliśmy w tym szym pokoju. Ja to wtedy liczyłem się już prawie jako starożyt. Starałem się w miarę swoich możliwości wprowadzać ją w ten, dla niej nowy system pracy. Dotąd jeszcze tkwił mojej w pamięci okres mojej absorpcji w zawodzie. Izraelczycy na ogół nie są skłonni do ujawniania tajników zawodowych nowoprzybyłym. Musiałem się sam przebijać. I właśnie dlatego starałem się pomóc jej i niektórym innym. Po pewnym czasie poznała turystę z Francji (przypuszczam, że nie Żyda), rozwiedzonego, z synem w wieku jej syna. Wkrótce wzięli ślub cywilny i wyjechali do Francji – co nazywało się, że na stałe. Nie wierzyłem w trwałość tego związku, o czym jej powiedziałem. Widocznie jednak miłość zaślepiła nie tylko młodych, ale również i starszych, a szczególnie kobiety i to dojrzałe z dużym doświadczeniem życiowym. I rzeczywiście – po półtora roku pani H.S. zjawiała się z powrotem w naszym biurze ażeby mi oznajmić, że miałem rację. Biuro przyjęło ją ponownie do pracy (trochę to tej protekcji musiała jednak mieć). Jej poprzedni mąż zaczął ją odwiedzać, widocznie pod pozorem swoich ojcowskich praw. I znowu, pewnego dnia opowiedziała mi, że należą się jej gratulacje – wyszła za mąż i to za swojego poprzedniego męża i oboje są w trakcie załatwiania wyjazdu na stałe do Kanady. Po krótkim czasie wyjechali. Dużo lat utrzymywaliśmy z nią listowny kontakt. Później to się urwało, nie wiem z czyjej winy. Widocznie każde jedno życie to oddzielna księga niespodzianek. Cała sztuka polega na tym, że niektóre z nich trzeba przewidzieć.

Nie przypominam sobie ile czasu spędziliśmy w Nowym Jorku (chyba ze dwa tygodnie). Z Nowego Jorku wylecieliśmy do Paryża i zatrzymaliśmy się u naszych warszawskich

przyjaciół, Waldy i Józka. Zwiedzaliśmy Paryż. Józek nas wszędzie obwoził. Pewnego wieczoru zaproponował, że pokaże nam Plac Pigalle z tymi “panienkami”. Bardzo było ciekawi. W Paryżu przecież nie ma rzeczy nie ciekawych. To “miasto światła” zawsze pozostawia po sobie niezatarte wrażenia. W Paryżu byliśmy kilka dni. Stamtąd wylecieliśmy do Frankfurtu nad Menem odwiedzić innych warszawskich przyjaciół, Lałę i Pawła. Oni mieszkali w Ofenbachu, jednym z przedmieść Frankfurtu. Stan zdrowotny Pawła bardzo się pogorszył - daleko zaawansowany Parkinson. Mimo to, częściowo jeszcze pracował. Tę pracę załatwił mu jeden z dyrektorów firmy Linde która swego czasu dostarczyła wiele urządzeń dla Płockiego Kombinatoru. Tam też przez kilka dni zwiedzaliśmy miasto oprowadzani przez Lałę. W Niemczech, jak zawsze przedtem, każdego Niemca w mniej więcej moim wieku “prześwietlałem” oczami duszy – kim i czym był i co robił w czasie wojny. We Frankfurcie porobiliśmy trochę zakupów, już końcowych, bo stamtąd wracaliśmy już prosto do domu. Lufthansa to dobra linia lotnicza, mimo że niemiecka. Grzeczna obsługa, dobre jedzenie.

W końcu wylądowaliśmy w Lud. Ktoś przyjechał na lotnisko i zawiózł nas do domu, nie pamiętam kto. Wszystkiego zrobiłem sobie tylko jeden dzień wolnego i zjawiłem się w biurze i zacząłem normalnie pracować. Bossom złożyłem tymczasowy, ustny raport, później potwierdzony przez szczegółowe pisemne sprawozdanie. Czekano na mnie dużo roboty. Nasze biuro miało opracować wstępną wycenę kosztów rozbudowy Zakładów Morza Martwego. Oprócz tego miałem się włączyć w projektowanie rozbudowy całego szeregu innych zakładów. W haifskim biurze pełniłem m.in. funkcję głównego inspektora jakości aparatury fabrykowanej w kraju na podstawie dokumentacji technicznej opracowanej przez nasze biuro. Do pomocy dano mi młodego człowieka którego wprowadzałem w tajniki naszego fachu. W późniejszym czasie, już poza “Lifem” ten młody człowiek z powodzeniem potrafił samodzielnie pracować jako inspektor jakości. On był chyba jedyny, który w pełni docenił moją pracę nad nim. Trzeba przyznać, że zawsze podkreślał, że to ja nauczyłem go tego zawodu. Podejście w tym kraju raczej nietypowe. Bardzo ładnie z jego strony. W związku z tą moją funkcją wyjeżdżałem do Szwajcarii i do Niemiec dla przeprowadzenia bezpośrednio na miejscu kontroli jakości u wykonawców aparatury.

W naszym biurze byłem również głównym kosztowcem przy opracowywaniu wycen kosztów inwestycyjnych dla nowoprojektowanych oddziałów produkcyjnych w istniejących zakładach, jak również i nowych obiektów tzw. “gross root” budowanych na “dziewiczym” terenie. Bardzo ciekawą pracę wykonywałem przy opracowywaniu analiz istniejących oddziałów produkcyjnych w różnych zakładach, z punktu widzenia ich dalszej przydatności i eksploatacyjnej efektywności w procesie produkcyjnym. Miało to być oparte na amerykańskiej zasadzie, że każdy rodzaj urządzenia ma swoją określoną liczbę lat efektywnej i opłacalnej eksploatacji i po tym należy go wymienić. Tego rodzaju analizami zainteresowane były towarzystwa ubezpieczeniowe. Tego rodzaju opracowania przygotowywałem wspólnie z J.B.T., nadzwyczaj sympatycznym, kompetentnym i wysokokwalifikowanym inżynierem-chemikiem. Za nasze opracowania klienci płacili wysokie stawki godzinowe. Wszystkie tego rodzaju opracowania wychodziły w formie broszur w języku angielskim.

W naszym biurze byłem również odpowiedzialny za uzupełniające prace projektowe dla wenezuelskich fabryk. Z tego tytułu, pod koniec 75-go roku zostałem ponownie oddelegowany do Wenezueli.

Uzupełnienia miały być opracowywane bezpośrednio na miejscu. Moim zadaniem było przeprowadzenie szczegółowej analizy co już zostało zrobione, co jeszcze pozostało do zrobienia i jakie są przeszkody stojące na drodze do terminowego uruchomienia obu fabryk jak również co należy przedsięwziąć ażeby je usunąć. Tym razem wyjechałem sam, bez żony. Po drodze miałem wstąpić do Amsterdamu dla omówienia z holenderską firmą AKZO sprawę opracowania oferty na budowę fabryki Soda Ash w jednym z południowo amerykańskich krajów. Miało to być “Joint Venture” pomiędzy AKZO i naszym biurem. AKZO miało swoją siedzibę w Arnheim. Z samego rana pojechałem pociągiem z Amsterdamu do Arnheim. Rozmowy trwały 3 dni i

koncentrowały się głównie na przygotowaniu danych kosztowych dla końcowej oferty na kompletny projekt według systemu E.P.C. czyli Engineering, Procurement, Construction. System ten nazywano "pod klucz". Pod wieczór wracałem do mojego hotelu w Amsterdamie. Po zakończeniu rozmów przyszło mi poczekać na połączenie lotnicze z Caracas. Wzięło to 2 dni które wykorzystałem na zwiedzanie Amsterdamu. Trochę staromodne, ale mimo to ciekawe, europejskie miasto. W moim guście; lubię takie miasta. Połączenie miałem via Madryt. W Madrycie jak raz "wpadłem" na pogrzeb generała Franco. Taki nieproszony gość. Miałem wprawdzie trochę czasu, ale cudzoziemców na miasto nie puszczano. Cóż było robić? Jakoś to przeboleałem.

I znowu Caracas. Dużo było pracy. Częste wyjazdy na teren budowy oraz inspekcyjne wizyty u wykonawców aparatury. Zajmowałem mieszkanie blisko centrum miasta i niedaleko biura. Weekendy spędzałem w towarzystwie caracaskich przyjaciół - albo u nich w domu albo też z nimi w Puerto Asul, o którym już poprzednio wspominałem. Dwa razy w tygodniu dzwoniłem do domu. Wieczorami, po pracy chodziłem na spacer, zawsze w centrum miasta, bo zapuszczanie się w boczne uliczki było niebezpieczne. Ten mój pomocnik z poprzedniego okresu spisywał się dobrze. Wykazywał dużą samodzielność, co mnie w dużym stopniu pomagało w wypełnieniu mojego podstawowego zadania. Jak widać, nauka nie poszła w las. Większość czasu mego czasu zajmowała bardzo szczegółowa analiza budowy. Sto stronicowe sprawozdanie ukończyłem na miejscu w Caracas. Było ono przedmiotem omówienia na kierownictwie caracaskiego oddziału biura i zostało przyjęte jako wytyczna dla dalszej działalności biura (kopię tego sprawozdania zatrzymałem sobie jako wzór). Na tym moja misja się zakończyła. Zacząłem się szykować do powrotu. Po drodze wstałem na kilka dni do Nowego Jorku. Zawsze z chęcią wracałem do tego miasta. Tamże porobiłem nieco zakupów, głównie prezenty.

Lot Nowy Jork – Tel Aviv odbył się bez sensacji. Do długodystansowych lotów zdążyłem się przyzwyczaić i nawet polubić. Na lotnisku oczekiwała mnie Gina z dziećmi.

W ostatnim dziesięcioleciu mieliśmy kilka ważnych wydarzeń rodzinnych. Ludka, nasza córka wyszła za mąż (1974); Romek, Nuny syn się ożenił (1970); Misia, córka Józka wyszła za mąż (1968); Jerzyk, nasz syn się ożenił (1981); Rysiek również się ożenił (daty nie pamiętam). Dzieci Józka – Rysiek i Misia, przyjechali z Polski w 68-ym roku. Obojgu brakowało do ukończenia wyższych studiów po dwa albo trzy semestry (?). Tu przyjęto ich na Politechnikę Haifską dla ukończenia studiów - Ryska na wydział elektryczny, Misia na chemię. Misia przyjechała tu ze swoim chłopcem, który tu ukończył matematykę. Jerzyk ożenił się z dziewczyną której rodzice pochodzili z Indii, ona urodziła się już tu, w Izraelu. Cała młodzież naszej rodziny odbyła w Izraelu obowiązkową służbę wojskową. Wszyscy chłopcy w naszej rodzinie uczestniczyli w wojnie 1973 roku.

Po powrocie z Wenezueli, jeden dzień odpoczywałem na tzw. Rodzinnym łonie i powróciłem do pracy. Również i tu, w Haifie, moje szczegółowe sprawozdanie było przedmiotem omówienia w kierownictwie biura. Na tej podstawie podjęto szereg postanowień operatywnych dotyczących postanowień operatywnych dotyczących wenezuelskich projektów.

Przedłożyłem rozliczenie kosztów podróży wenezuelskiej, które HDF. zatwierdził w całej rozciągłości, bez jakichkolwiek zmian. Wróciłem do moich codziennych czynności, tak jak przed wyjazdem. Moje kontakty z HDF były raczej sporadyczne. Pełniącym obowiązki dyrektora (executive) HDF mianował jednego z członków tzw. ścisłego kierownictwa. On sam sprawował nadzór ogólny nad całokształtem działalności biura. Negocjacje z potencjalnymi klientami pozostawił całkowicie w swojej gestii. Tych swoich ludzi z jego najbliższego otoczenia zaraził bakcylem "workoholizmu", czyli ciężkiej codziennej pracy, bez liczenia się z czasem osobistym każdego z nich. Byli zawsze gotowi na każde jego zawołanie, o każdej porze dnia, nierzadko do późnych godzin nocnych. HDF potrafił narzucić im swój styl pracy którzy oni przyjęli i kopiowali we wszystkich szczegółach. Byli doskonałymi wykonawcami (bicuistami po hebrajsku) Czego ich nie nauczył, to tzw. "naganianie" nowych prac. Dla wszystkich potencjalnych klientów on i tylko on pozostawał jedynym adresem; tylko z nim gotowi byli negocjować. Kiedyś, przy

jakiejs tam okazji, w chwilach szczerości (bo i takie, wprawdzie rzadko, ale bywały) powiedziałem mu o tym. Popatrzył na mnie, bez złości i z przymrużeniem oczu, i nic nie odpowiedział. Wyczułem, że go "połechtałem". Później przekonałem się, że miałem rację. Tym on się nigdy nie chciał dzielić. Chciał pozostać bezkonkurencyjnym "alfą i omegą" w tym względzie. Do grona jego bliskich współpracowników nigdy się nie zaliczałem. Mimo to, przy jakichś tam przypadkowych okazjach lubił (tak mnie się przynajmniej wydawało) uciąć sobie ze mną krótką pogawędkę. Co wiem na pewno to, że lubił moje dowcipy, szczególnie te żydowskie. HDF znał wiele języków. Żydowskiego nie znał, ale lubił jego dźwięk. Może być, że w jego pojęciu byłem jakiś nietypowy, inny od tych jego przybliżonych. Sztuki pochlebstwa nigdy sobie nie przyswoiłem. Może być, że doszedł do wniosku, że należę do tych co to pieniędzy wprawdzie nie mają, ale za to trochę honoru własnego – tak. To, że lubił plotki – kto co i z kim wiem na pewno (widocznie wszyscy bossowie to lubią). Czy lubił też plotki na swój temat? Przypuszczam, że nie. Zresztą kto by śmiał przychodzić do niego z czymś takim? A powodów ku temu było wcale nie mało. Poczucia humoru na tutejszych wyższych uczelniach nie uczą. A czy gdzie indziej uczą? Chyba też nie, ale za to ludzi z poczuciem humoru w Polsce było bez porównania więcej, pomimo, że ci na wysokich szczeblach hierarchii państwowo-twórczej byli kompletnie wyzbyci poczucia humoru.

Z okresu studiów w Warszawie zapamiętałem taką rzecz. Jeden z moich profesorów, pan S.Król, dowcipny lwowiak u którego słuchałem "dzwignice", i czasem wycierałem tablicę (zawsze siedziałem blisko, bo jeżeli źle widziałem to również źle słyszałem; zostało mi to do dziś). Kiedyś, w przypływie dobrego humoru zapytał: co studenci o mnie mówią i co mi życzą? Nie chciałem odpowiedzieć, bo lubiłem profesora Króla, miałem dla niego dużo szacunku i nie chciałem mu sprawić przykrości i zepsuć humor. On jednak nalegał; widocznie bardzo go to musiało ciekawić. W końcu wydusiłem ze siebie: "panie profesorze, gdyby nawet tylko połowa z tego co panu życzą miała się spełnić, to pan profesor miałby już dawno być w raj". A że był dowcipny i miał wysokie poczucie humoru na jaki tylko lwowiaków było stać, serdecznie się uśmieł. U tegoż profesora robiłem projekt dyplomowy, co czasem wymagało wieczornych konsultacji bezpośrednio u niego w gabinecie. Ciekawe było słyszeć jak dzwonił do domu: "tu mówi Król, chciałem mówić z Królową". Bardzo mi profesor Król pomógł przy obronie pracy dyplomowej, czego mu nigdy nie zapomniałem i pozostałem wdzięczny do dziś.

HDF był menadżerem pełną gębą. Za wielu takich w tym kraju chyba nie było. Oprócz tego wykładał również na Politechnice Haifskiej "Project Management" Jego sekretarka przepisywała je na maszynie i później powielała. Mam ich cały komplet. Co tu mówić? Majstersztyk!

Ja i jeszcze jeden kolega z naszego biura, S.L., byliśmy na rocznym kursie (raz na tydzień, pełny dzień od 8-ej rano do 4-ej po południu) w Ramat Awiwskim Instytucie Naftowym. Słuchaliśmy wykładów najlepszych izraelskich specjalistów w dziedzinie nafty, w tym również HDF. Na przełomie lat 69 i 70 nasze biuro było zaangażowane w projektowaniu kilku dużych obiektów. Wymienię z nich te dwa najważniejsze w których aktywnie uczestniczyłem: budowa nowej od podstaw rafinerii nafty w portowym mieście Ashdod i budowa połowej rafinerii nafty dla ciężkich paliw na terenie pól naftowych w Abu Rodez w Zatoce Sueskiej. Tę ostatnią, po zakończeniu budowy i uruchomieniu, Izrael zmuszony był zwrócić Egiptowi po wojnie październikowej 1973-go roku.

W połowie 76-go roku skończyły się tłuste i nastały chude lata dla biura. Pojawiły się ślady kryzysu w naszej branży. Poprzednie projekty się kończyły, nowe projekty nie wpływały. W tym mniej więcej czasie "zaostrzył" się kolejny romans HDF z jedną z sekretarek, co w efekcie końcowym doprowadziło do pełnego rozłamu w tej rodzinie. Pewnego dnia, przy jakiejś tam sposobności HDF zaczął mnie i zaczął mówić w jakiej krytycznej sytuacji biuro się znajduje, że nie ma nowych projektów i że jemu głowa schnie skąd wziąć pieniądze na wypłatę ludziom. Powiedział też, że jestem pierwszy komu to mówi (niby dlaczego właśnie ja?) i że postanowił zlikwidować biuro. Przy tym wszystkim zapewnił mnie, że ja osobiście nie mam się czego

obawiać, bo on zamierza zorganizować grupę złożoną z 5-ciu osób łącznie ze mną, która będzie robiła różnego rodzaju analizy, przygotowywała koncepcje rozwiązań projektowych, opracowań kosztowych i temu podobnych tematów dla klientów krajowych i zagranicznych i w tym względzie on wykorzysta swoje koneksje. A że koneksje miał i to szerokie – to fakt. Czym HDF się kierował rozwiązując biuro, nie było jasne. Że tylko i wyłącznie trudnościami finansowymi? Wcale nie jest takie pewne. Jaki udział w tej jego decyzji miała jego nowa partnerka – tylko on i ona znali te prawdziwe motywy. Żona HDF chyba niedługo po tym zmarła. Sympatyczna była ta pierwsza żona HDF, pani Rut Frenkiel. Zostawiła czworo dzieci – troje dorosłych i jedno w wieku подростка. Wkrótce po tym HDF się ożenił i dziś ma zdaje się, dwoje dzieci z tą nową żoną. Mieszka w Tiwonie; tam wybudował nową willę. Willa z Cezarei przeszła na dzieci z poprzedniego małżeństwa. HDF jest czynny jako wysoko ceniony konsultant i doradca różnych izraelskich firm. Ostatnio podobno wybudował i operuje fabrykę butelek plastikowych w Karmielu. Teren kiedyś zajmowany przez “Life” sprzedał pod budowę olbrzymiego supermarketu “Lew Hamifratz”. Na ile rozliczył się z pozostałymi udziałowcami dawnego “Life” – nie wiem. Mnie, który był z nim prawie, że do końca (1979) wypłacił wszystko co do grosza (niewiele tego było, to inna sprawa). Jak już stwierdziłem na poprzednich stronach, zawsze go ceniłem i nadal cenię, jako niezwykle zdolnego, utalentowanego, i kompetentnego fachowca. W stosunku do mnie i do mojej żony był zawsze fair i szczodry. Wiele się od niego nauczyłem i dużo mu mam do zawdzięczenia. Zrobił to co chciał zrobić. Wielka tylko szkoda dla państwa Izrael i dla jego przemysłu. Kiedyś mu to powiedziałem. On był innego zdania, powiedział, że przesadzam. Ja swojego zdania do dziś nie zmieniłem.

Chcę nieco wrócić do czasu kiedy HDF postanowił rozwiązać biuro. Zaczęli się zgłaszać “kupcy” - południowo-afrykańska firma ELB Bateman, chcieli kupić biuro jako jedną całość, ze wszystkimi “patrochami”; nawet nazwę podobno byli gotowi pozostawić. HDF nie chciał się zgodzić. Jak głosiła niepotwierdzona fama, on chciał (czy tylko on?) wymazać w sposób absolutny wszystko co miało jakkolwiek związek z dawnym “Life”. Sprzęt biurowy, archiwum, biblioteka – wszystko diabli wzięli. Kto tylko miał Boga w sercu – brał co tylko mógł (oprócz mnie, i to wcale nie z powodu skromności czy skrupułów – po prostu nie miałem okazji).

Do końca listopada 1979-go roku wciąż jeszcze załatwiałem dawne sprawy biurowe. Pewnego wieczoru, jeszcze przed grudniem, zadzwonił do mnie człowiek z fabryki “Deszanim” który później miał być moim bezpośrednim przełożonym przez kolejnych dziesięć lat, że otrzymał polecenie od swojego bossa, zastępcy naczelnego dyrektora d/s technicznych skontaktować się ze mną i zaproponować mi pracę w “Deszanim”. Spytał czy byłbym gotów przyjść na rozmowę i ustalić warunki. Fabryka “Deszanim” była chyba najstarszą fabryką chemiczną w Izraelu. Stanowiła ona swojego rodzaju “Alma Mater” inżynierskich kadr od chwili powstania Państwa Izrael w 1948-ym roku. W niej uczyło się i nabierało doświadczenie wielu późniejszych “kapitanów” nowopowstającego izraelskiego przemysłu chemicznego. Z ramienia mojego poprzedniego biura “Life” wykonywałem w swoim czasie różnego rodzaju prace projektowe i analizy mechaniczno - ekonomiczne dla tej fabryki. Stąd też znajomość z dyrektorem technicznym fabryki, Y.F., który wiedział o moim zakończeniu pracy w “Life” i był zainteresowany w moim przejściu do pracy w “Deszanim”. Ten, który do mnie zadzwonił był kierownikiem wydziału inżynierskiego w którym miałem pracować. Nazajutrz rano zgłosiłem się, ustaliliśmy warunki płacowe i już następnego dnia zacząłem pracę w nowym miejscu. Tak więc kończyłem pracę w jednym miejscu dziś i już nazajutrz zaczynałem pracę w nowym miejscu.

Z powyższego wynikało, że w moim życiu nie zaznałem gorzkiego smaku bezrobocia – nie licząc oczywiście geograficznych, losowych zmian awiązanych z emigracją, ale również i te były krótkotrwałe. Problemy zawodowe w nowym miejscu nie były mi obce, tak że w bardzo krótkim czasie byłem w pełnym “szwunku” Nie bez znaczenia było moje dotychczasowe zróżnicowane doświadczenie i praktyka zawodowa w różnych systemach ekonomicznych, na różnych szerokościach geograficznych. To mi dawało niejako pewność i

przewagę w stosunku do moich nowych współpracowników. Tłumaczyłem im, że różnica między nami polega na tym, że ja widziałem dobrą pracę i złą pracę, a oni zaś nie mieli tej miarki porównawczej, bo na tej fabryce niemalże wyrosli i dlatego wydawało im się, że wszystko co robią, robią dobrze i że tak ma być. Poza tym, dyscyplina pracy, terminowość i odpowiedzialne podejście – za te wszystkie poprzednie lata głęboko we mnie utkwily. Nie wiem czy tak znowu całkiem słusznie, zawsze miałem uczucie, że w pracy muszę się wykazać, wyróżnić i starać się być lepszym od innych. Tutaj, w Izraelu, nazywano to “syndromem galutowego Żyda” i nie zawsze było to przychylnie przyjmowane i dobrze widziane.

Miejscowi ludzie, starożyłcy mieli za sobą ochronę przed pracodawcami w postaci związków zawodowych, wynikającą z długoletniej pracy. Takich nie można było zwolnić czy wyrzucić z pracy, chyba że za jakieś przekroczenia natury kryminalnej, o czym już poprzednio wspominałem. Oni nie musieli się “wykazywać”. Ja musiałem, bo wciąż jeszcze pozostawałem “nowicjuszem”. Moim minusem w nowym miejscu podobno było niedostateczne opanowanie hebrajskiego, co też od razu wyjaśniłem moim nowym przełożonym. Przyjęli to może nie tyle ze zrozumieniem ile z praktycznych korzyści – “takich z hebrajskim my mamy wielu, mówili, natomiast takich jak ty, z roboczym angielskim bardzo niewiele, albo może i wcale”. Tak więc przyjęło się, że wszystkie moje opracowania były po angielsku. Nie wszystkim to było w smak i na rękę, a szczególnie tym którzy z angielskim mieli pewne trudności. Taka jednak była decyzja kierownictwa i z tym się musieli pogodzić.

Jak już wspominałem, moje trudności językowe koncentrowały się głównie na czytaniu dokumentów i przygotowywaniu sprawozdań po hebrajsku. Na codzień, w stosunkach z współpracownikami i z wykonawcami robót posługiwałem się “łamanym”, prymitywnym hebrajskim.

Przez te dziesięć lat pracy w Deszanim prowadziłem różnego rodzaju roboty związane z rozbudową fabryki, powiększeniem mocy produkcyjnych istniejących oddziałów, rozbudową istniejącej trakcji kolejowej, budową nowych przestrzeni magazynowych i temu podobne. Do moich obowiązków należała też funkcja głównego kosztowca dla wszystkich robót rozwojowych prowadzonych na terenie fabryki. W tym względzie doprowadziłem do diametralnej zmiany podejścia. Stosownie do zaleceń dyrekcji, koszty wszelkiego rodzaju robót rozwojowych finansowane z puli inwestycyjnej musiały wpięrow trafić do mnie dla sprawdzenia kompleksowości i wstępnej akceptacji i dopiero po tym były przedstawiane dyrekcyjnej radzie inwestycyjnej do ostatecznego zatwierdzenia. W przeciągu dziesięciolecia mojej pracy w Deszanim około 150 tego rodzaju przedsięwzięć przeszło przez mój “filter”. Moje stosunki z współpracownikami wydziału i niektórymi członkami kierownictwa fabryki były zawsze poprawne. Niektórzy z nich znali mnie z moich poprzednich prac i jak sądzę, respektowali mój zasób doświadczenia w dziedzinie przemysłu chemicznego. Nie mogę natomiast powiedzieć czegoś podobnego o moim bezpośrednim przełożonym, J.R. Przez cały ten 10-o letni okres stosunki z nim nie należały do sympatycznych i były mniej aniżeli poprawne. Jeżeli tak było, to nie ja byłem tego przyczyną. Zawsze starałem się być lojalnym podwładnym. Przypuszczam, że dobrze wiedział, że z mojej strony nie może oczekiwać jakiegokolwiek zagrożenia konkurencyjnego. Kiedyś, wyraźnie i bez ogródek powiedziałem mu, że moje kariery mam już poza sobą, szczególnie że to jest moje końcowe 10-o lecie przed wyjściem na emeryturę. Moim opracowaniom, analizom i sposobem prowadzenia robót mi powierzonych zawsze przedstawianej w konkretnej, pisemnej formie – nigdy nie potrafił, zresztą nie miał niczego do zarzucenia. Poza tym sądzę i to bez przesady, że zawsze stały one wyżej od podobnych opracowań przedstawianych mu przez innych podwładnych. Że się chwale ? Nigdy nie leżało to w moim charakterze. Zresztą żyją jeszcze ludzie którzy mogą to potwierdzić, jak również kopie opracowań i dokumentów jakie dotąd przechowuję w moim “prywatnym archiwum”. (dla kogo i po co ? Sam nie wiem). Według moich przypuszczeń, przyczyną animozji tego rodzaju w stosunkach między nami było to, że kiedyś zamierzał opuścić Deszanim i czynił próby przejścia do pracy w Lifie. Byłem w tym czasie kierownikiem wydziału opracowań mechanicznych i jako taki



otrzymałem do zaopiniowania jego “curriculum vitae” (c.v.) i charakterystyki zawodowej w sensie przydatności do prac projektowych w naszym biurze. Wtedy go przecież nie znałem osobiście i nie można mnie było posądzić o jakąś stronniczość. Moja opinia była negatywną. Po prostu nie nadawał się do pracy w naszym biurze, o czym miałem możliwość przekonać się później w czasie 10-o letniej z nim współpracy. Widocznie taką musiał wtedy otrzymać odpowiedź. Jak już wspominałem, nie on mnie do pracy przyjmował – jemu kazali mnie przyjąć. I jeszcze kilka zdań na zakończenie tego trochę przykrego dla mnie okresu. Kiedyś, zupełnie przypadkowo, na terenie fabryki “zaczepli” mnie zastępca dyrektora który mnie ściągnął do Deszanim, ze słowami: “dobrze, że pana widzę u nas, spodziewam się, że wniesie pan coś ze swojego bogatego doświadczenia – czekamy na to”. Odpowiedziałem mu: “panie dyrektorze, ja chciałbym i jestem gotów, tylko są tacy którzy nie są w tym zainteresowani i wcale nie chcą tego”. Żadnego komentarza z jego strony nie było. Przypuszczam, że ten dyrektor musiał się domyślać o co mi chodziło. Niestety, tego rodzaju podejścia nie należały do rzadkości, o czym niejednokrotnie miałem możliwość się przekonać w czasie mojej kilkudziesięcioletniej pracy zawodowej w tym kraju. W czasie mojej pracy w Deszanim miałem również sposobność zetknięcia się z menadżerami wysokiej klasy i kompetencji profesjonalnej która u nich szła w parze z wprost “canibalistycznymi” instynktami w stosunkach międzyludzkich, ale to już inna sprawa i może kiedyś o tym napiszę jeżeli lata i zdrowie mi dopiszą.

Lata 1980-90 były brzemienne w bardzo smutne dla naszej rodziny wydarzenia. W 1981-ym roku zmarła wszystkim nam droga – Nuna. Zupełnie nagle, w czasie wizyty u fryzjerki straciła przytomność nie odzyskawszy jej w przeciągu kilku tygodni. Przez pierwsze kilka minut mózg był pozbawiony dopływu tlenu, co chyba było równoznaczne ze śmiercią kliniczną. Całą resztę dni, aż do zupełnej śmierci fizycznej, utrzymywano ją przy pomocy sztucznych środków. Jej śmierć poraziła nas wszystkich bardzo ciężko, ale najbardziej chyba moją żonę, Ginę.

Stan zdrowia Giny ulegał stałemu pogorszeniu. Była pod stałą obserwacją kardiologiczną. Lekarze, którzy się nią opiekowali zdecydowali, że natychmiastowa, druga operacja jest absolutnie konieczna. Tym razem na otwartym sercu. Cztery arterie doprowadzające krew do serca były zatkane w 98-iu procentach. Również poprzednia operacja, “Srenoza Mitralis”, przestała być efektywną. Początkowo operacja miała być przeprowadzona w haifskim szpitalu. Wszystkie niezbędne badania i analizy zostały zrobione, gdy nagle wybuchła wojna libańska w 82-ym roku i szpital haifski musiał się przyszykować na ewentualne przyjmowanie rannych żołnierzy z północnego frontu. W przypadku Giny lekarze orzekli, że o zwłoce nie może być mowy i otrzymali telefoniczną zgodę na natychmiastowe przewiezienie jej do Tel-Avivskiego szpitala Ichilow. W piątek zawiozłem ją do Tel-Awivu. Przyjął ją wybitny kardiochirurg, profesor Vidna, podobno znany z tego, że podejmował się operować przypadki za jakie inni nie chcieli się brać. Zapytał o wyniki analiz. Nie mieliśmy, bo ich nam nie wydano. Pomyślał chwilę, po czym powiedział, że on gotów jest się podjąć i że szanse są 1 do 5 (jeden na “tak”, pięć na “nie”). My mieliśmy zdecydować. Wtedy ja zapytałem czy można bez operacji? Jego odpowiedź była krótka i twarda – że nie. Zażądał naszej pisemnej zgody. Z miejsca wydał dyspozycje odnośnie operacji w poniedziałek rano.

I rzeczywiście, w poniedziałek wczesnym rankiem zaczęto ją przygotowywać do operacji. Miała być pierwszą, co w takich przypadkach nie jest bez znaczenia, bo znaczyło, że sam profesor będzie operował. Operacja trwała od 7-iej rano do 3-iej po południu. W trakcie operacji okazało się, że niemożliwa jest wymiana wszystkich czterech arterii i profesor na miejscu podjął decyzję wymiany tylko jednej, tej głównej, w uzupełnieniu do sztucznej, metalowej zastawki. Przez dwanaście dni prawie, że nie wychodziłem ze szpitala. Po upływie piętnastu dni miała się odbyć pooperacyjna kontrola i wtedy okazało się, że Gina miała ukryty bezbolesny wrzód na dwunastnicy który pękł w wyniku szoku pooperacyjnego. Wszystko z niej wychodziło na “czarno”, ona sama myślała, że tak to powinno być i nikomu nic o tym nie powiedziała. Ambulansiem zawiozłem ją do Ichilow i tam potwierdzili, że to wrzód na

dwunastnicy, o czym ci od serca nic nie wiedzieli. W szpitalu pozostawiono ją znowu na dwa tygodnie. Rozważana była sprawa nowej operacji, tym razem wycięcia wrzodu na dwunastnicy. Lekarze się nie mogli zdecydować, gdyż mieli wątpliwości czy po tej “dużej” operacji potrafi przetrzymać tę “małą” operację. W końcu zdecydowali się nie operować i zastosowali cały szereg środków farmakologicznych dla “zamknięcia” wrzodu. Po dwóch tygodniach zabrałem ją do domu. Od tego czasu była pod stałą obserwacją kardiologiczną i gastrologiczną.

Przez kilka lat wszystko było mniej lub więcej w porządku, aż do 87-go roku. W czasie kolejnego badania rectoskopowego ujawniono zaczerwienie wokół wrzodu na dwunastnicy. Lekarze (gastro) zalecili możliwie szybką operację wrzodu wychodząc z założenia, że każde wewnętrzne krwawienie przy jej stanie serca może być bardzo niebezpieczne. Nie mając innej rady – zgodziliśmy się. Może być, że lekarzom gastro wydawało się, że ich operacja była udaną. Faktycznie jednak okazało się, że nie wszystko było w porządku. Czegoś ci z gastro musieli zaniedbać. Pojawił się całkowity paraliż jednej strony. Odjęło mowę i czucie. Przez dwanaście dni nie odzyskiwała przytomności. Zmarła 19-go kwietnia 1987-go roku, jeden tylko dzień od swoich 63-ich urodzin. Nasza Najdroższa, Nieodżałowana, Nigdy Niezapomniana. O mojej bóleści trudno mi pisać. Dziewięć ciężkich lat (1996) upłynęło od tej fatalnej dla mnie daty. Dotąd nie jestem w stanie otrząsnąć się z tego. I chyba tak będzie to trwało do końca moich dni. Bardzo ją kochałem.

W grudniu 1989-go roku, po ukończeniu 65-iu lat, po dokładnie 10-iu latach pracy w Deszanim przeszedłem na emeryturę. Bywają tacy co z utęsknieniem czekają na ten dzień. Są również i inni – tacy których to “straszy”. Do tych ostatnich widocznie i ja muszę należeć ? Dostyc trudno mi na to odpowiedzieć. To, że chciałem się już z tego Deszanim pozbyć – to fakt. Z drugiej strony – i to wiem na pewno – że gdyby moja żona żyła, byłbym z tego zadowolony. Dopiero wtedy bylibyśmy trochę dla siebie. Bylibyśmy podróżowali, zwiedzali i robili wiele rzeczy które by nam sprawiały przyjemność, a których przedtem nie mogliśmy robić z takich czy innych powodów.

Na ogół jest przyjęte, że przechodzącym na emeryturę robi się tzw. pożegnalne party. Są przemówienia, pochwały i wiele innych, trochę obłudnych i nie zawsze szczerych rzeczy. Oczywiście, są też i składkowe prezenty czego organicznie nie cierpiałem. O przykrościach i złościwościach się zapomina (czy aby?). Dla mnie tego rodzaju “festiwale” trochę pogrzebem pachną. Przypominam sobie jak to na pogrzebie naczelnego inżyniera Lifee’u przemawiał człowiek który miał nie mały udział w szarpaniu nerwów zmarłego, co na pewno mu zdrowia nie przyprawiało. A jak przemawiał na tym pogrzebie ! A jak go chwalił ! Aż przykro było słuchać. Szczególnie mnie który znał ich obu i wiedział jak to było między nimi naprawdę. Wielka szkoda, że nieboszczykom nie jest dana możliwość chociażby krótkiej repliki, rzucenia kilku swoich, pożegnalnych słów przed wrzuceniem do ciemnego, wilgotnego grobu. Można by sobie tylko wyobrazić co by się wtedy działo.

Tak więc w moim przypadku (nie o pogrzeb przecież chodzi, tylko o emerytualne pożegnanie) tego wszystkiego nie było. Do ludzi co do życzliwosci których nie miałem wątpliwości i którzy byli mi sympatyczni, poszedłem powiedzieć im “good bye”. Innych po prostu zignorowałem. Prawdę mówiąc, nawet nie pamiętam czy ten mój, były już wtedy przełożony był między nimi. Czego jestem pewien to, że w końcu obaj byliśmy zadowoleni: ja, że się go pozbyłem, i on, że się, mnie pozbył. Rzadki na ogół “deal” w którym obaj uczestnicy są zadowoleni.

Zacząłem prowadzić samotnicze życie. Reżim jaki sobie sam narzuciłem, bez jakiegokolwiek uzasadnienia. Odseparowałem się niemalże od wszystkich znajomych i bliskich z tamtych czasów. Dlaczego ? Nie potrafię tego wytłumaczyć. Zawsze mieliśmy otwarty dom. Ludzie lubili do nas przychodzić i to nie tylko z powodu dobrej kuchni ale głównie z powodu życzliwości mojej żony. Dla każdego zawsze miała dobre słowo i życzliwą radę, szczególnie jeżeli o tę słabsza płeć chodziło. Dla niektórych z nich spełniała jak gdyby rolę “spowiedniczki”.

Odnosnie jej dyskrecji, żadna nie miała wątpliwości. Ja się nauczyłem ją nie wypytywać. Opowiadała mi tylko to co sama uważała, że powinienem wiedzieć. Między naszymi znajomymi byli tacy których nie znosiłem, i kiedy niektórzy z nich mieli do nas przyjść, byłem uprzedzany: mają przyjść tacy, a tacy, proszę cię ażebyś był dla nich uprzejmy. I byłem, chociaż z trudnością, bo nie należę do tych co to potrafią ukrywać swoje niechęci. Że nie mam racji ? Oczywiście, że nie mam. Wiem o tym i to nawet za bardzo dobrze wiem. To są widocznie cechy charakteru jakie nie daje się zmienić, powyżej pewnego określonego wieku. W dziecięcym, a może jeszcze we wczesnym, młodzieńczym wieku to się jeszcze czasem udaje. Nigdy później.

Niedługo mi się przyszło "leniuchować". Po jakiejś półtoraletniej przerwie zadzwoniono do mnie z biura projektowego "Bateman" (Izraelska filia południowo-afrykańskiej firmy o teźże nazwie) zapraszając na rozmowę. Zaproponowano mi pracę w charakterze tzw. "supporting force" rodzaj "consulting" dla wszelkiego rodzaju prac projektowych przy budowie fabryki Carmiel Olefing w ramach haifskiej petrochemii. Rodzaj pracy bardzo różnorodny, co dawało mi możliwość wykorzystania mojego, bądź co bądź, wieloletniego doświadczenia. Zaczęło się od 6-iu godzin i bardzo szybko przeszło na pełny wymiar roboczego dnia. Płacono mi dobrze. W ten sposób przepracowałem w tym biurze około 3-ich lat. Po krótkiej przerwie, z ramienia teźże firmy Baternan oddelegowano mnie do dyspozycji tzw. Joint Venture czyli wspólnego projektu dwóch berszewskich firm, działającego pod wspólną nazwą "Magpro" dla budowy fabryki magnezu na terenie Zakładów Morza Martwego. Z ramienia "Magpro" prowadziłem nadzór i kontrolę jakościową w dwóch haifskich firmach – Vulcan Engineering (handasa) i Vulcan Foundries (jecika) wykonujących bardzo duże zamówienia dla nowobudowanej fabryki magnezu. Wartość zamówień przekraczała 5 milionów dolarów. Zajęło to półtora roku. W połowie 1996-go roku definitywnie przestałem pracować i odtąd, w wieku 72-ich lat zacząłem prowadzić żywot bezrobotnego emeryta.

Czy jest mi z tym dobnrze ? Trudno mi dać na to jednoznaczna odpowiedź. Bez pracy czuję się jakoś "dziko". Całe moje życie pracowałem i to od bardzo wczesnej młodości. Praca zawsze stanowiła dla mnie jedną z najważniejszych treści mojego życia. Moi przełożeni i współpracownicy zawsze mnie uważali za "workoholica" (pracuś). Z drugiej strony, trzeba sobie umieć zdać sprawę z tego, że wszystko ma swój koniec. Koniec końców, do ilu lat człowiek może pracować ? Trzeba ustąpić miejsca nowemu narybkowi specjalistów. Takie są prawa natury i trzeba się im umieć podporządkować.

## **P O S Ł O W I E**

Właściwie, większość z tego co miałem do powiedzenie zostało powiedziane. Wszystkiego, włączając szczegóły, nie byłem w stanie opisać, bo było tego i za dużo i może za bardzo nużące.

Jak już zaznaczyłem w słowie wstępnym i pozwolę sobie jeszcze raz powtórzyć – niniejsze zapiski absolutnie nie stanowią kroniki wydarzeń. Jest to tylko wybór niektórych ważniejszych przypadków i wydarzeń które w jakiś tam sposób rzutowały na moje życie. Nigdy nie miałem zamiaru bawić się w komentatora wydarzeń politycznych jakie miały miejsce w czasie mojego życia i o jakie, chcąc, nie chcąc, ocierałem się. Nie mogłem jednak oprzeć się pokusie ażeby nie wyrazić mojego osobistego poglądu na te sprawy. Polityka nigdy nie była moim fachem. Ja się polityką zawsze tylko interesowałem, ale nigdy jej nie uprawiałem ani też się nią nie zajmowałem. Tak było kiedyś przedtem, w Polsce przedwojennej i powojennej. Tak też i jest dzisiaj tu, w Izraelu. Na swój chleb powszedni zawsze zarabiałem uczciwą pracą. Nie szukałem łatwego życia. W polityce, jak niektórzy inni znajomi mi ludzie. Mnie ta Polska powojenna pomogła dojść do tego do czego doszedłem, ale i ja się tej Polsce odplaciłem 20-to letnią uczciwą pracą. Bo co się zbudowało, potrzebne czy niepotrzebne – pozostało; czasem i z niepotrzebnego można zrobić coś potrzebnego; to zależy tylko od szefa “kucharzy”. Tak więc w tym względzie jesteśmy “kwita”.

Pamięć moja sięga niemalże okresu kiedy zacząłem chodzić do szkoły powszechnej. Nasza rodzina składała się z ośmiu osób. Oboje rodziców, czterech braci i dwóch siostr. Z tej ósemki na dzisiejszy dzień (listopad 96-y rok) pozostało nas dwoje: moja siostra, Henia i ja. Nasza mama zmarła w przeddzień mojej ewakuacji na wschód (czerwiec 41-y rok). Naszego ojca, brata Szymona z żoną, siostrę Fanę z mężem i córką zamordowali Niemcy. Najstarszy z braci, Szlomku, zaginął już po wojnie w dotąd niewyjaśnionych okolicznościach. Nasz drugi brat, Fredek, który przesiedział 10 lat w sowieckich lagrach i przyjechał do Izraela z powojenną rodziną i przybraną córką, zmarł już tu, na chorobę Alzheimera; jego syn z powojennego małżeństwa, Włodek zginął kilka lat wcześniej w katastrofie motocyklowej. Przedwojenną żonę Fredka z dwojgiem dzieci zamordowali Niemcy. Przedwojenna żona najstarszego z braci, Szlomka, zmarła w Nowym Jorku; córka z tego małżeństwa, Nina, z mężem i synem mieszka w Nowym Jorku, zaś powojenna żona, Walentyna, z dwojgiem dorosłych dzieci Seriożą i Tanią mieszkają we Lwowie.

Dzieciństwo miałem niełatwe. Na żadne kolonie lub wakacje nigdy nie wyjeżdżałem, bo nie było na to pieniędzy. W niedalekim Lwowie (101 kilometrów) nigdy przed wojną nie byłem (po wojnie też nie, ale to już z zupełnie innych przyczyn).

Przez całe moje życie musiałem się samemu przebijać. To moje ciężkie życie przed wojną chciałem w jakiś sposób wynagrodzić moim dzieciom. W 88-ym roku zabrałem wnuczkę Chagit-Daniel na 24-to dniową wycieczkę po Europie – Rzym, Venezia, Monte Carlo, Paryż, Londyn. W 89-ym roku byłem z Ludką w Warszawie dwa tygodnie. W 90-ym roku powtórzyłem taką wycieczkę z Jerzykiem. W 93-im roku byłem z Ludką w Ameryce, a rok wcześniej, w 92-ym roku, zrobiliśmy z wnukiem, Oferem, miesięczną wycieczkę po Ameryce – Floryda, Dallas, Disney World w Orlando, Nowy Jork i Amsterdam w Holandii. Dużo później, bo w 95-ym roku Chagit i Ofer zwiedzili Indie, Nepal i jeszcze coś tam – każde z nich oddzielnie, po trzy

miesiące i za własne zarobione pieniądze. Ludka z mężem i najmłodszym synem od czasu do czasu wyjeżdżali za granicę na krótkie wycieczki. Tak to dzisiaj młodzi żyją.

Jako emeryt mieszkam samotnie w niedużym nadmorskim miasteczku, 45 minut jazdy autobusem z Haify. Moje mieszkanie leży na trasie powietrznej pomiędzy granicą libańską a haifskim szpitalem Rambam. Każdy przelot helikoptera, czy to w dzień czy też w nocy powoduje ostry ból w sercu – wiadomo, że to przewożą rannych żołnierzy, nasze dzieci, bo w tym kraju wojsko jest zupełnie nie podobne do wojska w każdym innym kraju. Pod tym względem, wszyscy mieszkańcy tego naszego małego kraiku stanowią jedną wspólną rodzinę. Nas tutaj łączą tylko wojny i nieszczęścia z niej wynikające. Na codzień ten naród jest skłócony, targany sprzecznościami. Pokój nas dzieli, niestety taka jest ta tutejsza rzeczywistość.

Mówiąc o pokoju, to tu, takiego prawdziwego pokoju, za całe 48 lat istnienia tego państwa, jeszcze nie było. Tutaj trwa permanentna wojna, tyle tylko, że przybiera ona różne formy, począwszy od aktów terrorystycznych, potyczek granicznych, akcji odwetowych i kończąc na otwartych wojnach. Nasi sąsiedzi chcą nas zniszczyć i to za wszelką cenę. Naszym obowiązkiem i to również za wszelką cenę, jest się nie dać zniszczyć. Różnica między nimi a nami polega na tym, że u nich ofiary się nie liczą; u nas natomiast każdą ofiarę każdy z nas ciężko przeżywa, jak swoją własną.

Jak już przedtem wspomniałem, w kraju urodzenia każdy z nas był Żydem. Tu, we własnym kraju przekształciliśmy się w Polaków, Marokańczyków, Rosjan, Amerykanów, Anglików i diabli wiedzą w kogo jeszcze. Są wierzący i nie wierzący. Fanatyzm i przymus religijny, nietolerancja bardzo często przybierają obrzydliwe, nieznośne formy, żywcem przypominające irański chomeinizm i arabski fundamentalizm.

Przedtem, w pierwszych latach po utworzeniu państwa ludzie byli jacyś inni – uczciwi i życzliwi. Może dlatego, że była ich nieduża garstka. Później, w miarę wzrostu ilościowego wszystko się stopniowo zmieniło i to na gorsze. Dzisiaj (1996 rok) potworzyły się różnego rodzaju mafie. Oszustwa, malwersacje i kradzieże mienia publicznego stały się nieomalże sportem narodowym – nie rzadko na wysokich szczeblach hierarchii państwowej i municypalnej. Często partnerstwa zakładane bywają na zasadzie, że jeden z partnerów ma pieniądze a drugi doświadczenie. Po pewnym czasie partnerstwa się zmieniają – ten co miał pieniądze zdobył doświadczenie, a ten co miał doświadczenie zdobył pieniądze.

Kiedyś założyciel tego państwa, David Ben Gurion (rodem z Płońska) podobno miał się wyrazić, że to państwo będzie można nazwać normalnym państwem, jeżeli prostytutki, złodzieje i oszuści będą pełnymi Żydami, według zasad religijnych. Ben Gurion był wielkim wizjonerem. Jego prorocstwo się spełniło. W tej bogatej, demokratycznej Ameryce jest lepiej ? Skądże ! O wiele, wiele gorzej, a jednak ludzie żyją. Znowu powtarzam to co już mówiłem tyle razy przedtem: do wszystkiego trzeba się wpięrować, potem polubić i dopiero wtedy jest łatwiej z tym żyć. Mądre słowa. Mimo to, antagonizmy i zawiście dotkliwie potrafią utrudniać życie prostych ludzi, tych tzw. "szaraczków". Czy możliwym jest ażeby tego rodzaju negatywne zjawiska zaczęły zanikać ? Może w najbliższym tysiącleciu ? Kto tam zresztą może wiedzieć ? Wierzącym fanatkom w tym względzie jest chyba łatwiej. Oni wierzą w Mesjasza, który jak się tylko pojawi od razu te wszystkie nierówności wyrówna. A co mają robić ci wszyscy sceptycy nie wierzący w przyście Mesjasza ? Wszyscy ci, którzy w tym kraju stanowią przytłaczającą większość ? Pojęcia nie mam.

Jeżeli o mnie chodzi, to przecież kiedyś miałem możliwość zmienić szerokość geograficzną. Z różnych przyczyn tych możliwości nie wykorzystałem. Czy dziś, z perspektywy czasu nie żałuję ? Nie, nie żałuję. W jakimś sensie przyzwyczałem się do tego co jest i nawet trochę polubiłem i dlatego te wszystkie negatywne zjawiska łatwiej mi jest znosić.

Na swój sposób doszedłem do swego rodzaju fundamentalnego wniosku, że to jest mój kraj i kraj moich dzieci i wnuków, jaki on by tam nie był. Jeżeli o wnuków chodzi, to mam ich sześcioro, wszyscy tu urodzeni i dlatego chociażby to jest ich stuprocentowa ojczyzna. Oni żadnych ciągów nostalgiczych nie mają.

Powiedzieć, że wszystko co się tu dzieje podoba mi się – nie mogę. Pomimo przeżytych tu 34-ech lat jeszcze nie było rządu który by mi się podobał i ministrów których darzyłbym sympatią. Nie odpowiadają mi porządki, czystość na ulicach, nieznośna biurokracja, nietolerancja i przymus religijny, zachowanie się kierowców na szosach, sposób wychowywania dzieci i jeszcze wiele, wiele innych rzeczy. I pomimo tego wszystkiego, nie czuję się w tym kraju obco i nie zamieniłbym go na inny. Do czego muszę się sam sobie przyznać, że nigdy przedtem tego rodzaju uczuć nie miałem. Z punktu widzenia politycznych poglądów i sposobu rozwiązywania problemów zdawałoby się nierozwiązywalnych, mam swoje sympatie i antypatie. Z żadną partią polityczną się nie afiliuję. Do wyznawców poglądów różnych od moich nie czuję nienawiści. Jestem przekonany, że każdy z nich, tak czy inaczej, na swój sposób chciałby mnie uszczęśliwić. Ja ich po prostu nie lubię ale – jak już powiedziałem – nie nienawidzę. Nienawiść podobno idzie w parze z kompleksem niższej wartości, czego ja nie odczuwałem w odniesieniu do moich adwersarzy.

Spisanie tego wszystkiego zajęło mi około 5 miesięcy. Czy to za mało, czy też za dużo ? Odpowiedzieć mogę tylko następującym dowcipem: Żyd przychodzi do krawca z zamówieniem na uszycie pary spodni. Krawiec bierze miarę i później jako termin odbioru podaje 4 tygodnie. Na to Żyd ze zdziwieniem: co ? Aż 4 tygodnie na taką parę spodni ? Pan Bóg cały świat stworzył w przeciągu 6-u dni. Odpowiedź krawca i to bez nutki zdziwienia, brzmiała: no tak, dlatego też ten cały świat tak wygląda.

Chciałoby się te moje zapisy zakończyć jakimś optymistycznym akordem. Niestety, przy moim wrodzonym pesymizmie nijak mi to nie chciało wyjść. Życ z takim “charakterkiem” jak mój – nie tylko mnie samemu, ale i moim najbliższemu, wcale nie było tak łatwo. Mój serdeczny przyjaciel – Wilo, nazywał mnie czasem “gnobak”; wywodzi się ze słowa “gnębić” w czym podobno byłem i pozostałem niedoścignionym mistrzem w stosunku do samego siebie.

Że nie potrafiłem sobie urządzić życia po śmierci mojej żony ? To fakt. Po pierwsze – nie próbowałem. Bliscy mi ludzie próbowali za mnie. Nic nie wychodziło. Z mojej wyłącznej winy. Widocznie bardzo głęboko pozostaje Ona w moich uczuciach i myślach. I tak już chyba pozostanie.

Styczeń 1997-y rok.

## **Indeks "Przezvisk" - DROHOBYCZ - UZUPEŁNIENIE**

Rozdział DROHOBYCZ do 1939 roku, pozostałby niepełny gdyby go nie uzupełnić chociażby częściowym indeksem "Przezvisk", tak charakterystycznym dla społeczności żydowskiej w przedwojennych, małych miasteczkach. Jakkolwiek może niekiedy śmieszne w nazwie, lecz wcale nie tak znowuż złośliwe. Było możliwe tylko w tych niedużych miasteczkach gdzie na ogół prawie wszyscy się znali i w jakiś sposób byli spowinowaceni. Łatwiej zapamiętać "przezvisko" aniżeli rzeczywiste nazwisko. Właściciele przezvisk na ogół wiedzieli o nich i najprawdopodobniej nie obrażali się za to. Niektóre z nich zapamiętałem i chociażby częściowo chcę je przytoczyć – pisana po polsku, lecz w oryginalnym, żydowskim brzmieniu, bo tylko w ten sposób możnaby ewentualnie trochę żydowskiego "folkloru" zachować. Przezviska te mogą coś znaczyć, ale tylko dla rodowitych drohobyczan którzy trochę te czasy pamiętają. Należały one do tego "światka" który kiedyś istniał i którego dziś już nie ma i więcej nigdy nie będzie. Nie wiem, czy to będzie możliwe; spróbuję, tyle tylko, że nie jestem pewien czy mi się uda podać źródło albo przyczynę "przezviska".

<b>Szpryncy Kak</b>	Cała ta duża rodzina nosiła to przezvisko. Datuje się ono jeszcze sprzed I-ej wojny światowej. Rodowodu i znaczenia nie znam.
<b>Jojny Kalikiejs</b>	Kolega mego brata. Ojciec sprzedawał ser, czasem też "zgliwiały" (zepsuty), o specyficznym zapachu dawno nie pranych skarpetek albo jeszcze gorzej. Takich rodzin, o tym samym przezvisku było kilka – wszyscy sprzedawali nabiał.
<b>Awrum Pycon</b>	Żebrak, umysłowo "stuknięty", podobno na tle zawodu miłośnego.
<b>Elfy Pyf</b>	Lekko "stuknięty", o "gigantycznej" objętości żołądka; na uroczystościach dla "zabawy" pojono go piwem i karmiono fasolą z miednicy.
<b>Etkiy Paroch</b>	Paroch – jedna z biblijnych plag egipskich w postaci ropiejącej egzemy na głowie. Czy właśnie ona coś takiego miała? Myślę że nie. Całą rodzinę tak przezywano.
<b>Ajzyk Hojkio</b>	Szacowny obywatel, działacz kahalny, właściciel sklepu żelaznego, miał podwójny garb – z przodu i z tyłu.
<b>Andzia Cucak</b>	Córka Ajzyka, sąsiadka, w moim wieku, wiecznie ssała swój własny palec.
<b>Tresyndykyo Jankiały</b>	Ortodyksyjny Żyd z brodą i pejsami, pisarz kahalny, miał fenomenalną pamięć, głowa mu się stale trzęsła i nigdy nie stała na miejscu.
<b>Ryfkiy Ruchały</b>	Znana filantropka i opiekunka biednych; tak nazywano wszystkie kobiety o podobnych skłonnościach, czasem (rzadko) przechodziło to na zniewieściałych mężczyzn.
<b>Walutnszjbo</b>	Waluciarz, trudnił się nielegalnym handlem obcą walutą, za co siedział w Berezie Kartuskiej.

<b>Kukumuc</b>	Technik dentystyczny, może być z powodu niskiego wzrostu.
<b>Mojsiy Lygno</b>	Opowiadacz niestworzonych historii, przeważnie nieprawdziwych, zmyślonych.
<b>Hułałały</b>	Znana w mieście żebraczka.
<b>Tłojy</b>	Jak wyżej.
<b>Chałobryński</b>	Jak wyżej.
<b>Milan</b>	Dentysta u którego mieszkałem we Wrocławiu; Milan był rzeźnikiem w Drohobyczu, bardzo grubym, tak nazywano podobnych do niego tuszą.
<b>Ryfcy dy Knejtorn</b>	Matka kolegi mojego, przed świętem Pesach wynajmowała się jako ugniataczka macowego ciasta.
<b>Bejrł Dziobak</b>	Koszerny rzeźnik, ojciec mojego szwagra.
<b>Chajym Glejzo</b>	Drohobycki szklarz, kiedyś pobożny, później lewicowy.
<b>Mykały Ganyf</b>	Przedwojenny złodziej na tle ówczesnej “niesprawiedliwości społecznej”, w życiu prywatnym porządny człowiek dbający o swoją rodzinę. Kradł u bogatych, biednym nie rozdawał.
<b>Scharjy Ganyf</b>	Jak wyżej.
<b>Yciały Ganyf</b>	Jak wyżej.
<b>Rebały</b>	Sprzedawca gazet, były student religijnej jesziwy, wykoleił się na “lewo”, aresztowany przez Sowieców za trockizm, z sowieckiego łagru nigdy nie wrócił.
<b>Mojsiy Kiyly</b>	Kolega z organizacji, świetny ping pongista, mówiono, że ma przepuklinę, czego nikt nigdy nie dowiódł; zwykły paszkwil na porządnego człowieka.
<b>Łajzo Kutas</b>	Mój kolega, pojęcia nie mam dlaczego go tak “ochrzčili”, zdolny i inteligentny chłopak.
<b>Yziy Kiyszky Łaby</b>	Nasz przedwojenny znajomy, skąd takie skomplikowane przezwisko ?
<b>Trelbuch</b>	Mój wujek, właściciel sklepu żelaznego, moi bracia tak go nazywali – nie wiem dlaczego.
<b>Milek Hochsztapler</b>	Mój kolega szkolny, zawsze, byle czym i przy każdej okazji lubił się chwalić.
<b>Jojny Kaczkiy</b>	Rodzinne przezwisko całej, dużej rodziny sprzedawców ryb w piątkowe dni.
<b>Bejrysz Mytały Gałkiy</b>	Nasz znajomy, skąd to przezwisko ? Wstydzę się powiedzieć.
<b>Szwejk</b>	Kilku braci, przedwojenni koledzy mego szwagra, przezwisko zdaje się pochodzi stąd, że jednego z nich matka posłała na studia do Czechosłowacji a on, zamiast studiować wołał grać w karty.
<b>Dy Rojty Blijmy</b>	Matka Szwejków, właścicielka składu drzewa opałowego.
<b>Regiemy dy Chonty</b>	Jedna z drohobyckich “cór Koryntu”, bardzo przystojna blondynka, do jej klienteli podobno należeli przedwojenni oficerowie polscy.
<b>Maniy Pijogiy</b>	Mieszkała na Łanie, odnajmowała pokój “córóm Koryntu”.
<b>Szymyn Tym Tym</b>	Sprzedawał rasowe szczenięta, mówili, że czasem kradzione.
<b>Symchy Płachty</b>	Brat mojego kolegi szkolnego, pracował u ojca znanego “delikatesowego”.
<b>Beciy Buń</b>	Kolega mego szwagra, karciarz, dowcipny facet.
<b>Hały Srak</b>	Ortodykcyjny Żyd, nie wiem skąd to przezwisko.
<b>Husarjy Mytdy Kanonyn</b>	Pobożny Żyd, kiedyś podobno służył w Cesarsko-Królewskiej Armii Austriackiej i lubił opowiadać o cesarskich huzarach.



<b>Kielbały</b>	Drohobycki rzeźnik, w czasie okupacji był policjantem w getcie, po wojnie skazany na śmierć, dotąd żyje (zdaje się w Kanadzie).
<b>Yciały Tachrijchymyszando</b>	Krawiec z bożej łaski, szył tylko pośmiertne szaty rytualne dla umarłaków, chwalił się, że jeszcze nigdy żaden z jego klientów się nie skarżył na jego robotę.
<b>Ignac Poprawsy Nos</b>	Niedoszły intelektualista, trochę “stuknięty”, dobry szachista, na zawołanie rzeczywiście próbował sobie nos poprawić i pytał czy teraz już w porządku, dał sobie też wmówić, że mu z czoła rogi wyrastają.
<b>Do Rojto Azril myt dy Kajlym</b>	Był rudy, powoził konnym, kahalnym powozem z balią i baniakami do rytualnego, ostatniego mycia nieboszczyków, coś czego nie zawsze uprawiali za życia; żydowskie prawo religijne podobno wymagało ażeby na tamten świat zjawić się świeżo wymyтым, inaczej mogli go nie przyjąć.
<b>Majometł</b>	Sprzedawczyni kur na rynku, w zimie zawsze trzymała między nogami garnek z rozżarzonymi węglami skąd czasem wydobywały się bardzo pdejrzone zapachy.
<b>Cym Belzo Rebm</b>	Zupełnie “stuknięty”, widocznie na tle religijnym, w zimie boso biegał po ulicach z tym zawołaniem.
<b>Malciy do Brodakiy</b>	Też sprzedawczyni kur, ale taka “lepiejsza” i nie na ulicy tylko w zamkniętym pomieszczeniu, podobno pochodziła z Brodów pod Lwowem, stąd to przezwisko.
<b>Łajciy dy Buby Dy Wasy Marjym Dy Łangiy Łajby Sralu Komunista</b>	Moja mama, akuszerka. Sprzedawczyni owoców, chyba kiedyś musiała być blondynką. Jak wyżej tylko, że była wysokiego wzrostu. Mój kolega szkolny, tylko dlaczego komunista ? Nigdy nim nie był, to wiem na pewno, na odwrót – był Bejtarystą (rewizjonistą).
<b>Puńciak Frojym Pijak</b>	Brat mojego szwagra, męża Nuny. Mój brat, pijakiem nigdy nie był, tylko raz mu się wydarzyło być pijanym i tak mu to przyłgnęło.
<b>Dy Pianowycio Szłojmy Pojlycio Halt Myt dy Mamyn</b>	Tak nazywano całą rodzinę cholewkarzy. “Zawiadowca” Domu Żydowskiego Drohobyczu. Znajomu Żyd, w czasie pogrzebu matki ostatni wychodził z domu i wtedy zamek mu się zaciął; kiedy się z tym uporał, kondukt pogrzebowy uszedł już kawał drogi i wtedy on zaczął go doganiać i krzyżeć: “Halt! zatrzymać się z mamą!” . I tak to mu zostało i przeszło w przezwisko.
<b>Fyszyl Stefan</b>	Jden z drohobyckich “mocnych”, zawsze chodził z bambusową laską służącą mu również za “broń”.
<b>Herman Giyb a Boch</b>	Jeden ze “stukniętych”, na to zawołanie zamierzał się z pięścią na każdego, kto był pod ręką.
<b>Mychajły Myt dy Kajt</b>	Szacowny obywatel, ale też jeden z “mocnych”, zamiast laski nosił ze sobą żelazny łańcuch.
<b>Mojsiy Polyfkiy Jampuś</b>	Sprzedawca owoców na rynku, miał kupę dzieci. Nasz bliski znajomy, wszyscy go znali nie z nazwiska tylko z “przezwicka”; skąd się wzięło – nie wiadomo, znał wiele ukraińskich piosenek.
<b>Iwany Śpiwaj-Hroszi dawaj</b>	Ukraiński “Trubador”, wyśpiewywał sprośne piosenki, podobno miał w głowie “cyfrowy computer”.

<b>Mojsiy Katolik</b>	Jeden z tych Żydów który koniecznie chciał uchodzić za Polaka.
<b>Jasnecki Kiczmycher</b>	Szył "kuczmy" które sprzedawał chłopom ze wsi w targowy dzień, używając "fikuśny" sposób.
<b>Do Blyndo Ycyk</b>	Wcale nie był ślepy, miał tylko zeza, za takiego go wszyscy zawsze znali. Całą tę rodzinę tak przezywano.